№ 19. Warszawa, dnia 28 Kwietnia (10 Maja) 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Listy z podróży (dokończenie). — Wiosna, Wiosna! (wiersz). — Flaminia (dalszy ciąg). — Na wyspie (dalszy ciąg).—Kronika paryzka (dalszy ciąg). — Korespondencya z Paryża. — Korespondencya z Włocławka. **W dodatku:** Szalone ożenienie przez M. A. Fleming przekład z Angielskiego, przez J. B.

LISTY Z PODRÓŻY

pisane przez

Stefana Marusińskiego do rodziny w kraju.

(Dokończenie).

Widok téj czaszki przywiódł mi na pamięć całe dzieje męczeństwa, tych pierwszych bohaterów: dziś niestety groby ich zaniedbane, opuszczone, wystawione na pastwę ludzi i zwierząt przykrem uczuciem napełniły mą duszę.. Od katakomb wynająłem łódkę i puściłem się morzem do miasta z ¹/₂ mili odległego. Wejście do portu Aleksandryjskiego jest trudne a nocą niepodobne. Port jest duży i zawsze pełny, aż się roi od okrętów i bark spacerowych. Wylądowawszy musiałem się opędzać setkom Arabów którzy z początku wzięli mnie za obcego przybysza, lecz po chwili poznali ponieważ codzień widzą mnie w porcie. Przedostawszy się więc przez ten mur żyjący podążam ku bramie gdzie nowa napaść na moją kieszeń. Kilkunastu chłopców arabskich prowadzących okulbaczone osły, napastują mnie ofiarując swe kłapouchy. Trzeba bowiem wiedzieć, że tutaj jazda na osłach jest w ogromnem użyciu, bo na wązkich ulicach gdzie dla dorożek miejsca by nie było, osiołki z zadziwiającą zręcznością galopują. Zwierzęta te są nadzwyczaj przyjemne i ładne, starannie ogolone (dla gorąca) na całéj skórze z wyjątkiem końca ogona i nóg na których poniżéj kolan pozostawione są zwykle dwa paski, tak że wyglądają jak gdyby miały obcisłe pończoszki ponieważ kolor całego korpusu ogolonego jest inny niż reszta ciała mianowicie nogi. Osiołki te dobréj rasy, dobrze żywione, są zgrabne, zwinne i nadzwyczaj ogniste. Lecz poganiacze ich są nieznośni, stają bowiem ze swemi rumakami zawsze tam gdzie największy ruch i żadnemu przechodniowi nie darują, muszą go zaczepić. Ale biada temu kto chcąc użyć przejażdżki, nie decyduje się i nie bierze prędko upatrzonego naprzód osła; z zadziwiającą bowiem zręcznością otaczają go owi chłopcy i podprowadziwszy swe osły ze wszystkich stron otoczą go murem z którego niełatwo się wydobyć: zazdrośni bowiem chłopaki popychają jeden drugiego, tak że gdy już noga w strzemieniu spoczywa i myślisz że koniec, aż tu następuje niespodziewane zupełnie pchnięcie i znowu jesteś na ziemi, nowy właściciel się przedstawia, powtarza się ta sama historya z siadaniem i spadaniem, w końcu chłopcy zaczynają się bić między sobą a ty rad nie rad musisz iść daléj piechotą.

Nic zabawniejszego jak widok opasłego i poważnego Araba jadącego na maleńkim osiołku. Nogi jego bowiem tykają ziemi, parasol olbrzymi po nad głową, biała broda spływająca na piersi dodaje mu wielkiéj powagi, śród któréj widok osiołka z jego wielkiemi uszami, oraz poganiacza, który często zamiast w osła palnie kijem Araba siedzącego i ztąd kłótnia, śmiech wrzawa następuje, tworzy sceny tak zabawne że się od śmiechu utrzymać nie można.. Drugą plagą Europejczyków są czyściciele butów rekrutujący się przeważnie z chłopców berberyjskich. Przechodzisz np. po placu Mehmed-Ali i znużony siadasz na ławeczce, ale biada ci jeżeli but twój cośkolwiek zakurzony, gdyż jakby z pod ziemi otacza cię chmara chłopaków i podstawiając swe skrzyneczki krzyczy „boye" t. j. farba. Naprożno gniewny machasz głową że nie, wszystko to nic nie pomaga, ty swoje a chłopcy swoje i chcąc się uchronić musisz opuścić miejsce spoczynku, jeżeli nie chcesz zrobić znajomości ze wszystkiemi czyścicielami na tym placu żyjącymi. Chłopaki te pędzą jedwabne życie: jeżeli mają szczęście zarobienia 1-go piastra t. j. 10 groszy to już im ta kwotka wystarcza na całodzienne życie; wodę bowiem mają z fontanny, resztki papierosów na ulicy, a bez mięsa zupełnie obejść się mogą i wyleżyć cały boży dzień darmo w cieniu akacyi nilowych, które na tym placu rosną.

Europejczyk zaś musi jeść dobrze i wiele mięsa: w tym bowiem gorącym kraju transpiruje się i poci nadzwyczaj, potrzebne więc jest silne pożywienie. Ja jadam zwykle dwa razy mięso, i to z wielkim smakiem. Życie jest tu tanie, owoce, jak daktyle, figi, migdały, banany, kokosy, brzoskwinie, melony, winogrona, fasole, boby, cebule, figi kaktusowe i mnóstwo innych południowych owoców są za bezcen. Za 10 gr. winogron zjeść naraz nie mogę, a melony dochodzą do 20 funtów nb. tak zwane cukrowe bo wodne to ważą i do centnara. Wstąpię, dajmy na to, do kawiarni tureckiéj, wypiję filiżankę kawy, wypalę ogromny nargil i kosztuje mnie to 1-go piastra czyli 10 gr. pols. Wino wszelkiego gatunku, jak: cypryjskie, z wyspy Chios, greckie, włoskie, na szklanki po 5 pols. groszy czyli ¹/₂ piastra, lecz za to szklanka piwa i to nieszczególnie płaci się do 1¹/₂ złotego polskiego. Tytoń bardzo dobry lecz dosyć drogi, mówię o najlepszym gatunku.

Baranina jest także tania lecz bardzo tłusta, mają tu bowiem owce tak zwane tłusto-ogoniaste, których ogony tworzą formalne bryły tłuszczu do 20 fun. ważące. W arabskim mieście wszystko życie koncentruje się na ulicy; głowy wiernych golą się na ulicy, kuchnie z całemi piecami, rożnami, garnkami i kotłami pod gołem niebem, cały dzień smażą ową baraninę, lub pieką ją na węglach. Dym i zapach pieczonego mięsa rozchodzi się po ulicy, wabiąc i nęcąc zgłodniałe żołądki przychodnich Beduinów i podróżnych. Targ ryb także rozmaity przedstawia widok, wszystkie jadalne potwory morskie, jak sepie, głowonogi, ślimaki i setki innych o których zoologia mało wspomina, leżą w ogromnych koszach na sprzedaż.

Co się dotyczy arabskiéj kawy to takowa jest specyałem o jakiem mieszkańcy północy wyobrażenia nie mają. Przyspasabia się w następujący sposób: kawę upaloną i utłuczoną a nie mieloną, bez cykoryi miesza się z cukrem i sypie do małego miedzianego garnuszka z dzióbkiem bez pokrywki, w którym kawa ta aż do zagotowania się w wodzie pozostaje: garnuszek taki najwyżéj służy na 4 osoby. Następnie wlewa się do maleńkich filiżanek i podaje gościowi: z téj filiżanki pije się zaledwie trzy czwarte bo jedną czwartą tworzy kawa osadzająca się na dnie. Lecz któż odda prawdziwy smak tego napoju, bo o zapachu już nic nie mówię. My tu w Egipcie pijamy prawdziwą mokkę. Jak wrócę to przywiozę téj kawy i na tutejszy sposób ugotuję. Arabowie piją ją bez cukru, co jeszcze lepiéj ma smakować.

W Europie ludzie są mniemania, że handel niewolnikami ustał, mylą się bardzo. Polowanie na tych nieszczęśliwych odbywa się rok rocznie w Sudanie i środkowéj Afryce, zkąd dostają się do Egiptu, gdzie najczęściéj są kupowani. Handel ten istnieje na dość obszerną skalę i w górnym Egipcie kupić można niewolnika lub niewolnicę za 50—70 do 100 franków: tutaj naturalnie są oni drożsi.

Jedynem miejscem przechadzki jest tak zwany plac „Mehmed-Ali" którego konny posąg znajduje się pośród dwóch alei akacyowych, ciągnących się po obu stronach téj promenady. Z prawéj strony posągu estrada, gdzie muzyka wojskowa codzień od 6 wieczorem aż do północy grywa, z lewéj zaś kawiarnia otoczona dokoła krzesłami i stolikami dla słuchającéj publiczności; na końcu promenady dwie olbrzymie fontanny marmurowe. Pomiędzy akacyami nizkie ławeczki z marmuru gdzie najczęściéj Arabowie siadają, lub to dla jedzenia, lub dla sporządzania koszuli, a ponieważ niektórzy nic innego nie noszą, siedzi więc na ławce w stroju Adama i najobojętniéj w świecie łata swą koszulę. Widok nie bardzo powabny: lecz tu wszyscy do tego przywykli. Co do ubiorów Arabskich to panuje tutaj rozmaitość, stosownie do zamożności. I tak np. wszyscy Berberyni noszą wierzchni ubiór złożony z wełnianéj niebieskiéj koszuli, która im aż do kostek spada, czy noszą co pod spodem to zagadka, bo nic widzieć nie można, przytem pantofle z ogromnemi nosami, ze skóry różnokolorowéj, na głowie zaś białe lub niebieskie zawoje. Co się dotyczy kostiumów właściwych Arabów, Greków, Turków, Syryjczyków i t. p. jest to pstry haos którego opisać nie sposób.

Bogaci Beyowie i Paszowie noszą się z Europejska, ale ubiór kobiet Arabskich Chrześcianek jest wielce oryginalny. Wystawcie sobie dawną Joskowę pachciarkę, w jéj szabasowym ubiorze, do tego z wielką mantylą jedwabną, czarną, sztywną, okrywającą całą jéj osobę. Gdy tak ubraną kobietę szybko idącą się widzi, podobieństwo do olbrzymiego nietoperza zbierającego się do lotu jest uderzające. Podobny rodzaj kostiumów już i na Malcie widziałem. Kobiety Mahometańskie noszą ubiory ciemne a przeważnie ciemno szafirowe, z zasłonami tegoż samego koloru z tą różnicą, że zamiast jak w Algerze, mieć górną część twarzy wolną, noszą jeszcze w poprzek czoła między oczami rodzaj słupka mosiężnego lub złotego, stosownie do możności, z pomocą którego jeszcze jest trudniéj wdzięki ich ocenić. Dodam jeszcze że kobiety tatuują się niebiesko na twarzy, oraz noszą bransolety na nogach. Berberyni zaś noszą kolczyki srebrne w uszach ale u góry a nie u dołu.

Ze starożytności tutejszych zasługują na uwagę Obelisk zwany Igłą Kleopatry, stojący po nad morzem we wschodniéj stronie miasta, gdzie niegdyś była świątynia Cezara. Z dwóch obelisków które się tu znajdowały został tylko jeden, drugi bowiem darowany przez Mehmeda Alego do Francyi, odstąpiony późniéj Anglikom został przez tychże przewieziony do Londynu. Stojący tutaj ma 21 metrów wysokości i 2½ metra grubości w przecięciu. Jest on z trzech stron pokryty hieroglifami. Pierwotnie stały te obeliski w Heliopolis (górny Egipt) z hieroglifów daje się odczytać imię Thotmesa III-go. W pobocznych liniach znajdują się postacie Ramsesa Wielkiego, a u dołu na rogach imię późniejszego Faraona zapewne Ozirisa II-go trzeciego następcy Sezostrisa. Gdy się pomyśli że obelisk ten składa się jedynie z jednego kawałka granitu nadzwyczaj twardego, dziś prawie nie do obrobienia, to pojąć trudno, jak na tysiące lat przedtem Egipcyanie coś podobnego dokonywać mogli. Tak zwana kolumna „Pompejusza" znajduje się w południowéj stronie miasta na wzgórku, gdzie zapewne dawniéj miasto stało, a gdzie dziś mahometański cmentarz się znajduje. Cała wysokość kolumny wynosi 98 stóp i 9 cali, okrąg 29 stóp i 8 cali, a przecięcie powierzchni kapitelu wynosi 16 stóp i 6 cali. Kolumna ta składa się z 3 części: kapitelu, słupa i podstawy, każde z innego kamienia i czasu budowy, słup sam 73 wysoki jest z czerwonego granitu polerowany. Bóg wie czem go Egipcyanie polerowali, bo jest to materyał tak twardy że go nawet najlepsza stal angielska nie zarysuje: słup ten jest jednym z największych na całym świecie.

Z hieroglifów na podstawie się znajdujących, odczytać można imię Psammeticha II-go i zdaje się że za jego czasów słup ten ociosano. Napis zaś na samym słupie wskazuje, iż kolumna ta przez prefekta Egiptu Publiusa cezarowi rzymskiemu Dyoklecyanowi postawioną była. Dziwna więc rzecz zkąd ta nazwa kolumny Pompejusza. Na wierchu jéj miał podobno Napoleon I jeść śniadanie. Znachodzi się téż tutaj pełno rozmaitych dawnych posągów z czasów Faraonów, Greków i Rzymian, a o pół mili za miastem są szczątki obozu tych ostatnich. Lecz z owéj dawnéj świetności Aleksandryi, która swego czasu liczyła się do większych miast świata, nie wiele się zostało: gdzież owe tysiące łaźni, świątyń, pałaców, gdzież grób Aleksandra W-go. Wszystko częścią przez morze pochłonięte, częścią dziką ręką Arabów zniszczone zostało. Tutejsi Arabowie pokazują wprawdzie niby grób Aleksandra W-go, lecz wątpię aby to było prawdą. „Sic transit gloria mundi." Miasto zatem dosyć ciekawe, a cóż dopiero mówić o Europejczykach tutejszych, o ich żonach i córkach, ubierających się z przerażającą przesadą i potrzebujących tyle na jedno pomazanie twarzy, mąki ryżowéj ile 20 arabskich familii za miesiąc by nie zjadło. Wprawdzie kobiety tutaj są nadzwyczaj piękne tak arabskie jak i Europejskie, lecz bardzo prędko starzeją się. W 13 i 14 roku wychodzą za mąż a w 20 są już podstarzałe dlatego to tyle potrzebują pudru. Przytem ślepota panuje tu strasliwie.

Widziałem kiedyś ludową tancerkę arabską, ale już więcéj nie chciałbym nic podobnego oglądać, tak mi się to wstrętnem wydało.

Co do przepędzania czasu, to wstaję o 7-éj. o 8-éj piję kawę i zjadam kawałek chleba, zapaliwszy papieros zabieram się do zawiązania pasa, co odbywam w sposób następny: do poręczy krzesła wiążę jeden koniec drugi zaś przytrzymawszy ręką na ciele okręcam się jak bąk tak ze cztery razy, nareszcie zakręcam drugi koniec na prawym boku i opuszczam chwast na dół. Po odbyciu téj operacyi zabrawszy sztylet, tytoń, zapałki i inne przybory, udaję się do portu, gdzie zajmuję się ekspedyowaniem towarów, płynąc łódką to do okrętu to do portu, pisząc listy frachtowe lub pilnując Arabów aby wszystko należycie robili. Około 11-éj godziny gdy gorąco się wzmaga i dochodzi do 40° Ream. opuszczam port i pieszo lub na osiołku udaję się do naszego agenta na pół godziny. Ztamtąd do siebie wracam na śniadanie, które składa się z sera, mięsa pieczonego, sałaty zawsze, deseru i pół butelki wina Bordeaux. Po śniadaniu pogawędziwszy z moją Włoszką lub jéj mężem, idę do swego pokoju, gdzie pracuję nad arabskim i włoskim językiem tak do 2-éj: od 2-éj do 3-éj odpoczywam lub drzemię bo straszne gorąco, największe z całego dnia, lub jeśli okręt nadszedł udaję się na pocztę czy nie ma listów z Europy. O 3-éj pospieszam do agenta, gdzie piszę listy angielskie, francuzkie, niemieckie rzadko, lub prowadzę książki i sprawdzam rachunki, paląc przytem papierosy i popijając kawę którą nam żona jego zawsze przysyła. O 5-éj lub 6-éj opuszczam kantor, i wychodzę na przechadzkę w miasto lub gdy już późniéj wracam prosto do siebie na obiad, po zjedzeniu którego gdzie makaroni podwójnie figurują idę znów na przachadzkę po mieście studyując charaktery i obyczaje tutejsze. Wieczorem udaję się na herbatę do Agenta u którego na wesołéj pogawędce czas upływa mi bardzo mile, czasami o 10-éj zachodzimy na plac Mehmed-Ali gdzie przy lodach słuchamy jaką godzinkę muzyki. Następnie powracam do domu i pracuję trochę nad językami lub czytam Koran, w końcu odbywszy polowanie na przebrzydłe moskitosy, wsuwam się pod siatkę muślinową, na kształt baldachinu nad łóżkiem rozpiętą i tak zwykle około 1-éj z północy zasypiam. Lecz niezawsze tak się dzieje. Niekiedy wstaję o 4-éj i udaję się do portu gdzie aż do 1-éj lub 2-éj zostaję, według potrzeby: śniadanie naturalnie jem w jakiéj kawiarni portowéj, niekiedy znów siedzę od rana aż do 8-éj w kantorze a czasem, lecz to rzadko, nic nie ma do roboty. W dnie takie piszę pamiętniki z podróży lub składam wizyty, np. do zakonników gdzie chory leżałem, do znajomych Włochów lub piszę listy. Lecz dopiero 2 dni takich feryi miałem, dziś trzeci, to téż piszę cały dzień i właśnie 12 w nocy bije a jeszcze nie koniec: jutro ma odejść okręt śpieszę się więc.

Zwykle w tygodniu dosyć jest do roboty lecz za to niedzielę mam wolną, udaję się więc rano na cichą mszę bo na summie o spokojnéj modlitwie ani myśléć. Cały bowiem kościół katolicki jedyny tutaj, zapchany bywa eleganckiemi Włoszkami, które więcéj dla okazania swych strojów niż dla modlitwy przychodzą: przytem ciągły szum i trzask wachlarzy nieustannie poruszanych, drażni i przeszkadza do skupienia ducha i podniesienia myśli. Nie mogę na to patrzéć, wydaje mi się lekceważeniem lecz na południu to zwyczaj nie rażący nikogo. Raz jeden tylko byłem na summie i od tego czasu zawsze wybieram ranną godzinę.

Otóż mniéj więcéj skreśliłem obraz mego życia: upływa ono dzięki Bogu dosyć spokojnie i dobrze. Czasami wieczorem będąc sam w domu, dobywam album i przeglądając fotografie Wasze zdaje mi się że się w domu pośród Was znajduję i chciałbym porozmawiać. Spojrzawszy jednak na pokój i obce sprzęty, złudzenie znika a myśl że to 600 mil dzieli mnie od kraju staje przed oczami. Lecz westchnienie do Boga, polecenie się Mu i pamięć na Jego wszechmocną nad całym naszym domem opiekę, pociesza mnie i uspakaja.

W czasie dalszéj podróży będę pisał z każdego miejsca gdzie dłużéj się zatrzymam najprzód z Kairu oraz okolicy, odetchnę więc trochę w tym przepysznym klimacie Górnego Egiptu.

Proszę tylko piszcie do mnie jak najwięcéj bo listy Wasze działają jak balsam dobroczynny na moje samotne serce, i robią tak szczęśliwym że nic mi wów-

czas nie brakuje chyba tylko uściskania Was wszystkich.

Pisać już więcéj nie mogę, godzina 2 z rana przytem brak atramentu zmusza mnie do przestania.

Patrząc na tutejsze owce tłusto-ogoniaste, przypomniałem sobie jagniątka Anetki, jakże też chciałbym jéj posłać chociaż parę tutejszych.

Pozdrówcie téż ode mnie starych służących jeszcze z moich czasów, ogrodnika i innych: ogrodnik dopiero by się dziwił widząc tu po nad Nilem olbrzymie drzewa oleandrowe dziko rosnące a kwiatem jakby pianą okryte.

Wiosna, Wiosna!

Wiosna, wiosna!... Gaj w rozkwicie,
A z pól wieje wonny par...
I znów tryska nowe życie,
Zagadkowy nieba dar...

Wiosna, wiosna!... Czas radości!
W ziemi płynie wrzący zdrój
Odrodzenia i młodości,
Co roztacza urok swój...

Wiosna, wiosna!... Cudów chwila!
Brzmi weselem ptaków śpiew;
Z martwéj ziemi się wychyla
Żywa trawka, żywy krzew...

Wiosna, wiosna!... Uczta bytu
Na wszechbytu zmienném tle!..
Wre w przyrodzie prąd rozkwitu
I hymn chwały niebu śle...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Flaminia ucałowała przyjaciołkę. Tymczasem Eliza przypatrywała się jéj z uwagą. Spojrzała na jéj twarz, wpatrzyła się w oczy a potem jednem skupionem spojrzeniem ogarnęła całą jéj postać. Na jéj czoło wychyliła się mała chmurka.

— Siadaj, rzekła do Flaminii podsuwając jéj fotel.

Sama usiadła przy balkonie, zkąd mogła widzieć pływające na wodzie gondole.

— Jeżeli żadnego innego interesu nie miałaś, odpowiedziała z uśmiechem Flaminia, jak tylko to abym na tym fotelu siedziała, to można było zrobić z mniejszym szafunkiem cudzéj niespokojności!

— Jeszcze mi tego nie możesz zapomnieć! Chciałabym na udobruchanie ciebie wymyślić jaką dobrą nowinę!

— Jakaż może być dla mnie tutaj nowina?

— Jakto, czy tutaj nic cię nie obchodzi?

— Ci, co mnie obchodzą, nie należą do téj ziemi!

— Czy tylko szczerze mówisz?

Twarz Flaminii ożywiła się.

— Tylko proszę cię, rzekła, nie posądzaj mnie przedewszystkiem o nieszczerość. Mogę być jak najgorszą, ale nieszczerą być nie umiem!

— Są pewne wypadki, w których mała, drobna, niewinna nieszczerość jest koniecznie potrzebną!

Eliza spojrzała badawczo w oczy Flaminii, która w téj chwili z nieznacznym rumieńcem w dół je spuściła.

— A widzisz niedobra? rzekła Eliza, schwytałam cię na gorącym uczynku. Nie zawsze jesteś szczerą dla mnie i tego nie mam ci za złe. Za to może ci się kiedy odwzajemnię.

— To przyjdzie ci z trudnością, bo ja dobrze widzę!

Eliza patrzała z uwagą na przyjaciołkę, która w téj chwili odzyskała już dawny zwykły spokój.

— Obiecałam ci jaką nowinę, zaczęła po małéj pauzie Eliza, otóż chciałabym przyrzeczenia dotrzymać, tylko nie wiem, czy ta nowina zda ci się na co!

— Jaka nowina?

— W tych dniach przyjedzie do nas Maryan!

— Pan Maryan przyjedzie? żywo zapytała Flaminia a twarz jéj zarumieniła się lekko.

Eliza patrzała z uwagą na nią.

— Tak jest właśnie odebrałam wczoraj list od niego, odpowiedziała Eliza.

Flaminia wzięła ze stołu rękawiczki i zaczęła bawić się niemi.

— Czy przyjedzie na długo? zapytała po długiéj pauzie.

— Zależy od tego, jak mu się w Wenecyi spodoba!

— W Wenecyi jest tyle do widzenia! Aby to wszystko dobrze obejrzyć, potrzeba więcéj czasu, niżeli zwykli turyści na to przeznaczają.

— Maryan nie jest zwykłym turystą. Lubi głębsze wrażenia i z ochotą poświęca im więcéj czasu.

— Powinien je tutaj znaleźć.

— Jestem tego pewna!

Nastąpiła dłuższa pauza. Obie przyjaciółki widocznie badały siebie wzajem. Eliza patrzała w twarz Flaminii, po której przemykały się małe płomyki ukrywanych starannie myśli i marzeń. A Flaminia chciała się z oczu Elizy dowiedzieć, jak daleko może sięgać znaczenie ostatnich jéj wyrażeń...

— A teraz pozwól mi przejść do innéj osoby, rzekła po długiéj pauzie Eliza, do osoby, która gotuje się do pewnéj między nami roli...

— Jakiéj osoby? z ciekawością zapytała Flaminia.

— Osobą tą jest, *conte Stella*!

— Ach daj mi pokój! Wolę zostać przy pierwszym!

— Czy szczerze to mówisz?

— Jak najszczerzéj!

Nastąpiło milczenie.

— *Conte Stella* bywa tak często u nas! zaczęła znowu po chwili Eliza.

— Widzę to... i nawet z tego cieszyć się mogę, jeśli tobie to się podoba!

— Nie rozumiem cię!

— Przecież to jest rzecz jasna! Po cóż-by tak często do was przychodził i z tobą całemi godzinami rozmawiał?

— Może ma w tem interes, do którego moja osoba wcale nie wchodzi!

— Jakże to być może?

— Może ty podobałaś się jemu.

Flaminia spojrzała z uwagą na przyjaciołkę. Spotkała się z jéj spojrzeniem, w którém malował się wielki niepokój. Zaśmiała się serdecznie.

— Żartujesz sobie ze mnie! odrzekła.

— Sama nie wiem, które z nas trzech żarty sobie stroi! zawołała z lekkim westchnieniem Eliza.

— Czy masz jąką niepewność?

— Aby ci prawdę powiedzieć, nie wiem dotąd, do czego właściwie hrabia zmierza.

— Przecież widoczna jest, że się... stara o ciebie!

Roziskrzyły się oczy Elizy.

— Przyznam ci się otwarcie, odrzekła, że ja sama dotąd nie wiem, o którą z nas on się stara!

Zaśmiała się Flaminia.

— Ty się śmiejesz, a ja mówię na seryo. Gdy z nim rozmawiam, zdaje mi się, że jest widocznie mną zajęty. Gdy zaś przypadkiem twoje imię w naszą rozmowę się wmiesza, mówi o tobie, jakbyś była jego ideałem! I sama nie wiem, która z nas ostatecznie jego serce zwycięży.

— To być nie może!

— Masz w tem dowód mojéj bezinteresownéj przyjaźni, jeżeli tobie o tem mówię!

Flaminia zamyśliła się.

— Ciekawa jestem jak Maryan tę rzecz osądzi! ozwała się Eliza.

— Pan Maryan, szybko podjęła Flaminia, pan Maryan ze mną zupełnie się zgodzi!... Kiedy mniéj więcéj przyjedzie pan Maryan?

Przy tych słowach zaszkliły się oczy Flaminii.

— Że jedzie do nas z wielką tęsknotą, o tem wiem dobrze, ale sądzę że prędzéj nie przyjedzie od pociągu kuryerskiego!

Usta Elizy uśmiechnęły się przy tem.

— Jakto? Już jutro rano? podjęła żywo Flaminia, a twarz jéj teraz zarumieniła się na piękne. Zapomniała nawet ukryć swoje wzruszenie.

— Cieszę się szczerze, że ta nowina sprawia ci przyjemność!... Ale wróćmy do rzeczy!

— Do jakiéj rzeczy mamy wracać? Mówimy o przyjeździe twego brata. Wcale się tego nie wypieram że przyjazd jego sprawi mi wielką przyjemność. Z powodu twoich opowiadań tak go znam dobrze jak mego rodzonego brata. Zresztą już dla téj saméj przyczyny że jest twoim bratem, że przybycie jego sprawia ci wielką radość, powinnam się razem z tobą cieszyć.

— Dziękuję ci... ale muszę zaczętą rozmowę skończyć, abym coś pewnego wiedziała na każdy wypadek.

— Cóż chcesz wiedzieć?

— Czy hrabia *Stella* podoba się tobie?

— Dajże mi z nim pokój!

— A gdyby sam ciebie o to zapytał?

Flaminia spojrzała z zadziwieniem na Elizę.

— Jakże on może mnie o coś podobnego pytać! odpowiedziała po chwili.

— Powiadam ci, że ty bardzo mu się podobałaś... a być może, że chodząc do nas do ciebie zmierza!

— Na to nie mam żadnéj odpowiedzi!

— Nawet wtedy, gdyby przez moje usta ciebie pytał?

— Możesz mu powiedzieć aby daremnie serca sobie nie ranił.

— A jeżeli sam tobie się oświadczy?

— Usłyszy to samo!

Eliza odetchnęła całą piersią? Z wdzięcznością spojrzała na przyjaciółkę, która zdawała się być tą rozmową trochę podrażnioną.

— Jeżeli tak, ozwała się Eliza po chwili, to nie źle będzie jeżeli to mu dasz do poznania!

— Nie rozumiem mężczyzn którzy w ten sposób zbłąkać się mogą. Jeżeli jedna się podoba, po cóż od téj zwracać się do drugiéj?

— Podobne drobne zbłąkania trzeba czasem mężczyznom darować póki nie zaciągną się pod złotą chorągiew obowiązku!... A zresztą któż wie czy on

się zabłąkał? Może on z tą myślą do mnie się zbliżył, aby ciebie widywać!

— Już powiedziałam; nic nie mam więcéj do dodania!

— Więc mogę... jeżeli mnie o to zapyta, coś mu z tego powiedzieć?

— I owszem... spodziewam, że nie będzie tego potrzeba.

Eliza spojrzała na zegarek a potem wyszła na balkon, aby całą przestrzeń przed balkonem okiem ogarnąć.

Szmaragdowe zwierciadło wód morskich było gładkie i ciche. Snuły się po niem jak zwykle gondole, płynęły statki parowe, a od czasu do czasu posuwał się śród nich jak patryarcha w pośród młodszego pokolenia czarny potwór o trzech masztach, który zwolna dążył do spoczynku opłynąwszy całą ziemię do koła!...

Eliza prócz tego zwykłego ruchu nic nie dojrzała, czego właśnie w duchu pragnęła. Żadnéj gondoli znajoméj na wodzie nie było, żadnego na kamiennéj tarasie znajomego przechodnia. Tylko roje majtków, fachinów i gondolierów bez zajęcia z dodatkiem jednéj setki pauprów brukowych, przechadzały się z wrzawą i żywemi giestami tam i napowrót.

Wróciła do Flaminii, która tymczasem wzięła jakąś angielską illustracyą i ją z uwagą przeglądała.

Eliza nie przerywała jéj. Przeszła się kilka razy po pokoju nasłuchując pilnie, czy kto po schodach nie idzie. Od czasu do czasu spojrzała do zwierciadła a potem na czytającą Flaminię, jakby te dwie postacie z sobą porównywała. Porównanie wywołało uśmiech zadowolenia na jéj twarzy pewnem oczekiwaniem ożywionéj.

Przechadzała się daléj z tym uśmiechem. Czasami tylko zatrzymała się przy drzwiach prowadzących do pokoju matki, która po wczorajszym ataku w łóżku odpoczywała. Ojciec pojechał jak zwykle o tym czasie na *Lido*, aby użyć powietrza morskiego.

— Czy matka śpi? zapytała cichym głosem Flaminia.

— Nie, odpowiedziała Eliza, l ży tylko bo jest trochę osłabiona.

— Chodźmy do niéj.

— Zaczekaj chwilę.

Teraz dały się słyszyć kroki na schodach. Eliza zatrzymała się na środku pokoju.

— Poznaję chód jego, ozwała się, to hrabia!

Flaminia rzuciła okiem do zwierciadła.

— Ślicznie wyglądam! zawołała z uśmiechem, ale mniejsza o to!

W téj chwili otworzyła służąca drzwi, a do pokowszedł hrabia *Stella*.

XVI.

Hrabia wyglądał dziś okazale. Miał na sobie ciemny garnitur z grubszéj jesiennéj materyi, w którym było mu bardzo do twarzy. Cała postać jego wystąpiła bardzo korzystnie w tem nowem, jakby dopiero od krawca przyniesionem ubraniu. Mimo to było mu swobodnie w téj na codzienny użytek przeznaczonéj odzieży, w jakiéj według miejscowego zwyczaju odbywają się wszystkie zwykłe wizyty.

Zrazu nie spostrzegł Flaminii, która siedziała między oknem a balkonem. Zmierzył wprost do Elizy i na powitanie uścisnął jéj rękę.

— *Bon jour madame*, rzekł do niéj dźwięcznym głosem, niewyobrazisz sobie pani, z jaką tęsknotą oczekiwałem...

— Widać jak silną była ta tęsknota, odpowiedziała Eliza również francuzkim językiem, jak żywo miałeś pan przed oczyma te chwilę oczekiwaną, jeżeli nie widzisz, że nie jestem samą.

Eliza mówiła to z żartobliwym uśmiech i nadzwyczajnym wdziękiem. Hrabia spojrzał do koła i obaczył Flaminią.

Sprawiło to na nim widoczne wrażenie. Lekka chmurka pojawiła się na czole Elizy.

— Witam panią! rzekł zwrócony do Flaminii dosyć sztywnie, nie podawszy jéj wcale ręki.

— Witam pana! odpowiedziała równie sztywnie Flaminia.

Nastąpiła krótka pauza. Położenie stało się dla hrabiego zupełnie nowem przez trzecią osobę. Eliza obiecała mu właśnie powiedzieć dzisiaj, jak Flaminia na jego marzenia się zapatruje, ale nie obiecywała mu, że on z nią samą mówić będzie. Wprawdzie groził jéj hrabia, że sam z Flaminią się rozmówi, ale nie miał bynajmniéj planu uczynić tu na tem miejscu. Zmieniło to więc położenie i trzeba było się do niego zastosować.

Hrabia milczał czas niejaki. Skorzystała z tego Eliza i zaczęła rozmowę o rzeczach codziennych.

Podjął tę rozmowę hrabia, a chociaż zrazu wdzięczny był Elizie za temata do rozmowy, w krótkim jednak przeciągu czasu poznał, że one oddalają go coraz więcéj od zamierzonego celu, odbierając rozmowie poważniejszy nastrój, jakiego właśnie pragnął hrabia. Dążył dosyć znacznie do tego nastroju ale miał do walczenia z siłą przeważną. Eliza widocznie chciała rozmowę utrzymać w tonie wesołym, żartobliwym, dowcipnym, w czem dopomagała jéj Flaminia bardzo skutecznie. Hrabia był w trudném położeniu. Żadnego więcéj znaczącego słowa, żadnego na seryo stylizowanego zapytania nie mógł wymówić. Cała rozmowa ślizgała się jak gondola po wierzchu życia codziennego, nie pozwalając ani na chwilę zejść do jego głębszych rzeczy.

Mimo to udało się hrabiemu nastroić rozmowę choć do połowy tonu, do którego dążył. Gdy Flaminia coś o przejazdce na Lido wspomniała, ozwał się hrabia:

— Szczęśliwą jesteś pani mając tak krótki cel podróży przed sobą. Cel ten można jasno widzieć i spokojnie dążyć do niego!

Hrabia westchnął tutaj.

— Zdaje mi się, odpowiedziała Flaminia, że każdy cel swój widzi, do którego dąży.

— Niekoniecznie, podjął szybko hrabia, często mamy pewne cele przed sobą, których jasno nie widzimy, a które tem więcéj są dla nas upragnione... jak wszystko co jest ideałem naszego życia!

— Rozumiem pana, odrzekła z powagą Flaminia.

— Domyślność pani sprawia mi niewymowne szczęście.

— Cieszę się, że to dla pana uczynić mogę!

— Zrozumienie myśli drugich oznacza już pewną sympatyą.

— Przecież słowa pana były dla mnie tak jasne!

— Być może że kto inny tak prędko nie objąłby ich właściwego znaczenia.

— Znaczenie tak łatwe do odgadnienia.

— Jeżeli się je sercem odgaduje.

Flaminia spojrzała zadziwiona na hrabiego.

— Na cóż serca do rzeczy tak prostych? zapytała.

— Na pozór... prawda że prostych.

— Mówiłam o przejazdce na Lido.

— Cel, który zaraz z portu wiedzieć możemy!

— A pan mówiłeś?...

— O celach dalszych, niewidzialnych, zakrytych mgłą marzeń!

— Miałeś pan na myśli... okręt, który nie na Lido, ale do Bombaj albo do Egiptu płynie! Tak słowa pańskie zrozumiałam, bo Bombaju lub Egiptu ztąd nie widać!

Eliza parskuęła śmiechem. Hrabia posmutniał i spuścił oczy w ziemię.

— A ja ręczę, ozwała się Eliza, że hrabia *Stella* nie będąc akcyonaryuszem fabryki wyrobów ze szkła ani o Bombaju ani o Egipcie nie myślał. Dziwne nieporozumienie, nie prawdaż hrabio?

Eliza miała w téj chwili uśmiech tak czarujący, tyle ukrytéj złośliwości mieściło się w tym uśmiechu, że wyglądała jak młody, nadzwyczaj powabny... szatanek!

— Dziękuję za zaręczenie odpowiedział hrabia z uśmiechem, ale ja zwykłem sam moje weksle podpisywać.

— Dla czegóż pan tak niefortunnie się podpisujesz, że drugi co innego tam czyta.

— To nieporozumienie było tylko... dowcipem, który wybornie się udał! Ten dowcip wejdzie jako pozycya dodatnia do księgi moich marzeń! Nie prawdaż że mi pani téj pociechy nie odmówisz?

Słowa ostatnie mówił hrabia zwrócony do Flaminii. Flaminia roześmiała się.

— Księga marzeń panie hrabio, rzekła, nie podlega żadnéj kontroli urzędu dochodów skarbowych tak jak księgi kupieckie, które muszą być ostęplowane. Możesz więc pan tam wpisywać, co tylko serce zapragnie!

— Mówiąc o tem, dałem tem samem pani prawo kontroli nad tą księgą moją, a nawet proszę, abyś pani tego prawa nie zrzekała się!

— Jakaż z tąd korzyść dla mnie?

— Dowiesz się, jak wiele pozycyi w téj księdze zajmuje osoba pani!

— Uprzedzam pana, abyś na moje konto żadnych długów nie robił, bo ja tych długów nie myślę płacić!

— A gdybym to uczynił?...

— Ogłoszę pana w dziennikach publicznych... za marnotrawcę!

— To marnotrawstwo jednak stanowi jedyne szczęście moje!

— Tak mówi każdy marnotrawca.

— To spraw pani, aby syn marnotrawny zawrócił na drogę porządku i obowiązków.

— Tego w żaden sposób uczynić nie mogę, bo nie mam jak ów biblijny ojciec, na jego powitanie ani jednego tłustego cielca do zabicia!

Eliza parsknęła znowu śmiechem. Hrabia nie chciał ustąpić i mówił dalej w tonie Flaminii.

— Nic dziwnego, odpowiedział, że pani w majątku swoim nie masz tłustych cielców, bo przy tak skąpem gospodarstwie i najtłuściejsze schudnąć mogą!

Szczerze i serdecznie roześmiała się Flaminia. Hrabia był zadowolony że dotrzymał jéj kroku.

— Trafnie pan odpowiedziałeś, rzekła po chwili, ale to wcale nie zbliży pana do upragnionego celu. Moje ubóstwo czy raczéj skąpstwo jest powodem, że pan i nadal możesz zostać... marnotrawcą!

— Pani nie wiesz jak srogi wyrok wydajesz na mnie!

— Taki zawód zazwyczaj sami sobie wybieramy.

— Masz pani na myśli zawód bezcelowego marzycielstwa.

— Nie wiem o czem pan myślisz!

Hrabia westchnął.

— Rozmowa pani zaczyna serce moje napełniać smutkiem!

— Tylko próżne naczynie zaczyna się napełniać... czy w sercu pańskiem dotąd nic nie było?...

Hrabia nic nie odpowiedział tylko wpatrzył się w oczy Flaminii. Flaminia miała właśnie na twarzy uśmiech żartobliwy i z tym uśmiechem patrzała na hrabiego.

Posmutniał hrabia.

— Chciałbym na to seryo pani odpowiedzieć, odpowiedział po krótkiéj pauzie, bez żadnéj koloratury!

— Powiedz pan, rzekła szybko Flaminia, powiedz pan seryo i otwarcie, a ręczę panu że ktoś z nas tutaj obecnych bardzo się tem ucieszy!

I spojrzała na Elizę, któréj twarz lekko się zafarbowała.

— Niech pan powie, ozwała się Eliza z pozornym spokojem i żartem, wszystko jest lepsze od niepewności i... od marnotrawstwa marzeń swoich!

Hrabia nic nie mówił, tylko patrzał w oczy Flaminii. Na jego wyrazistéj twarzy malowały się szybko uczucia które właśnie jego sercem miotały. Była to burza silna i namiętna. Południowa krew wrzała na widok spokojnych wdzięków północy. Widać było błyski tajemnéj namiętności, rozbudzonéj przez cichy, idealny urok młodéj kobiety...

Usta hrabiego zaczęły się coraz ciemniéj farbować, oczy połyskiwały coraz większym ogniem... Na twarzy Elizy było widać zmartwienie. Patrzała z pewną zazdrością na idealnie cichą i spokojną twarz Flaminii, która tak silny wpływ wywierała na gorący temperament, południowego mieszkańca... Po jéj twarzy przemykały także w téj chwili silne, namiętne uczucia, i jakby niemi górę wziąść chciała nad spokojną idealnie uroczą kobietą, jakby jéj odbić chciała zdobycz tak ponętną...

Sytuacya była naprężona, w ukryciu odbywała się już walka, która jawnie wybuchnąć mogła lada chwila, gdy nagle uderzenie wiosła o kamienne schody pod balkonem całą gotującą się scenę dramatyczną przerwało.

Flaminia wyjrzała z balkonu, i obaczyła gondolę a na gondoli starą kobietę, która z dołu dawała jéj znaki, aby do niéj zeszła.

— Babunia mnie woła! ozwała się z balkonu i wbiegła do pokoju, aby się zebrać.

Hrabia poczerwieniał cały na twarzy.

— Odchodzisz pani, ozwał się, a mnie zostawiasz pani w tak smutnych ciemnościach!

Flaminia wskazała z uśmiechem na Elizę.

— Jeżeli są dwie młode kobiety, rzekła do hrabiego, trzeba być bardzo ostrożnym w komplimentach, aby mówiąc do jednéj nie ubliżyć drugiéj! Czyż za ciemno będzie dla pana w pokoju, gdy Eliza tylko zostanie?

— To prawda, ozwała się z uśmiechem, winieneś mi hrabio wytłomaczyć się z tego!

— Niezawodnie to zrobię, tylko jeszcze do pani Flaminii jedno słowo...

— Będzie ich jeszcze więcéj, przecież po raz ostatni się nie widzimy!

— Być może że po raz ostatni!...

Flaminia ubrana już zupełnie zatrzymała się nagle przed hrabią. Patrzała na niego czas niejaki. Hrabia stał przed nią z powagą dramatycznego bohatera. Miał smutek na twarzy a w oczach oczekiwanie niecofnionego wyroku...

— Do zobaczenia, rzekła do niego, ale w roli weselszéj. Do dramatu nie masz pan talentu. W krotochwili możemy kiedy oboje razem wystąpić.

Rzekłszy to roześmiała się szczerze, podała hrabiemu drobną rączkę i serdecznie jak życzliwa przyjaciółka uściskała jego rękę. Było tyle słodyczy w dzisiejszym wesołym jéj humorze, taka dobroć serca tryskała jéj z oczu, i tak ciepły, gorący był uścisk ręki, którą w téj chwili trzymał hrabia w dłoni swojéj, że zakończenie rozmowy straciło dla niego zupełnie lekką ironią zaprawioną goryczą. Szczerze i serdecznie uścisnął tę drobną rączkę a nawet podniósł ją do ust i gorąco ucałował jakby ona Bóg wie czem dobrem przed chwilą go obdarzyła!... Zdawało mu się, że całując tę rączkę już jest szczęśliwy i że niczego innego nie pragnął! .. Dopiero gdy ta rączka z dłoni jego się wysunęła, gdy Flaminia z przed oczu mu znikła, dopiero wtedy uczuł że sytuacya jego jest wcale inną od téj w jakiéj był przed chwilą.

Usiadł na fotelu i zamyślił się.

(d. c. n.)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego.

(Dalszy ciąg).

Rozdział XII.

Hedda do Olgi.

Nie powinnaś się gniewać miła Moja Olgo, że po dwóch długich tygodniach na list twój dzisiaj dopiero odpisuję. Lecz gość o którym ci wzmiankowałam odsyłając Freiligratha i inne książki, bawi tu jeszcze, i zapewne nie tak prędko wyjedzie. Właściwie nie jest on naszym ale Gustawa i Klementyny gościem, wiesz jednak przecie że Nedur jest komunistyczną kolonią. I około gospodarstwa więcéj mam zajęcia, bo na naszą Krystynę w niczem się spuścić nie można, co chwila nowe jakieś głupstwo zrobi, zatem i gospodarstwo dużo mi zabiera czasu. Parę razy zrobiliśmy dalszą wycieczkę, rano czytamy, wieczory spędzamy na muzyce, dość że te dni czternaście niepostrzeżenie szybko minęły. Czemu nie przyjechałaś niepoczciwa Olgo? Wszakże na wpół mi to przyrzekłaś, a tym razem o wiele lepiéj bawiłabyś się na naszéj wyspie. Cóż wtedy mogłam poradzić na to, że deszcz bez przestanku padał, mały Pawełek zachorował, Klementyna nie wychodziła z jego pokoju, a pan von Elze nie miał szczęścia zachwycić ciebie, pomimo że sobie tyle pracy zadawał? Ja również go nie lubię, a teraz więcéj jeszcze niż kiedykolwiek. Dzięki Bogu że nas wkrótce opuszcza, jak wyjedzie hymn dziękczynny napiszę. Wyobraź sobie, miła moja Olgo, że ten człowiek poważa się starać o względy Klementyny! Nie mam tu na myśli ani przyjaźni, ani życzliwości, ale po prostu to zwykłe znaczenie jakie temu wyrazowi dają. Czyż to nie okropność? Co on sobie myśli? Czy sądzi że tak bardzo zajmuje swoją nienawiścią do świata, i tem melancholijnem obliczem którem mi przypomina mojego Gila! Niech się w nim księżniczki całego świata kochają, nie zazdroszczę im tego szczęścia ale przysięgam że wszelkich starań dołożę aby z nim więcéj już żadnego nie śpiewać duetu. Codziennie gra jego wydaje mi się gorszą, a kiedyś niżéj wszelkiéj krytyki sonatę patetyczną wykonał. Gdybym to ja wiedziała czem zyskał on łaskę w tak zawsze przezornych, mądrych oczach Klementyny. Przekonana jestem że chyba swemi wzruszającemi dziejami. Ty wiesz że Klementyna lituje się nad cierpieniem każdego zwierzęcia, cóż dopiero nad cierpiepieniem człowieka!

Tę słabą stronę odkrył przebiegły porucznik i ztąd ten wyraz męczennika jaki twarz jego przybiera. W nieobecności Klementyny umie on być wesołym; czy pamiętasz ten wieczór gdy śpiewał nam owe śliczne żołnierskie pieśni, których byśmy wolały nie słyszéć wcale? Klementyna nie ośmiela go ani trochę, ale pomimo tego zachowanie się jego uderza; na przechadzce jest jéj nieodstępnym towarzyszem, a wszędzie, o każdéj porze ma jéj zawsze coś do powiedzenia. Doprawdy nie pojmuję Klementyny! I oto zjawia się ten niegodziwy człowiek, by jéj kochanéj, szczęśliwéj, dowodzić na każdym kroku, że jest okropnem nieszczęściem iż żoną Gustawa została. Ostatniemi czasy pan porucznik bardzo na małżeństwo nie łaskaw, a nieszczęściem co chwila na ten przedmiot wpadamy, i właśnie wczoraj wieczorem ogromna toczyła się walka pomiędzy Pawłem a panem von Elze, w któréj niezaprzeczenie pierwszy miał słuszność, chociaż niektóre jego poglądy dziwacznemi mi się wydają. Coraz więcéj dziwię się sama sobie, jak na chwilę nawet mogłam uważać porucznika za człowieka serca i rozumu; przyznać muszę że nad jego rozmowę przekładam rozmowę z Gustawem, choć czasami wyobrażenia jego zaliczyć można do rzędu tych, które jak się wyraża Heine: *są powleczone zieloną skórą*. Bądź co bądź jest to człowiek na wskroś prawy i uczciwy, co zawsze więcéj warte niż piękne słóweczka pana von Elze, z których również niewiekszą odnosi się korzyść. Niezmiernie mnie cieszy że i Paweł podziela zdanie nasze o nim, i spokojniéj patrzę na niezrozumiały dla mnie stosunek między nim a Klementyną, chociaż co prawda on pierwszy zwrócił na to moją uwagę. Ale przypominam sobie, że jeszcze nie przedstawiłam ci naszego gościa. Panno Olgo B. oto p. Paweł St. zwany niekiedy panem doktorem filozofii, lub wprost doktorem, czasami Pawłem albo kuzynkiem, a niekiedy także sąsiadem. Przekonana jestem że takie dwie piekne dusze uszczęśliwione będą ze spotkania; gdyż muszę ci powiedzieć sąsiedzie, że panna Olga posiada pełną szufladę najpiękniejszych wierszy w manuskryptach, które sama wyśpiewała, a tobie droga Olgo nie mogę zamilczéć, że pan doktór już nawet drukował pienia swoje, i on to jest autorem owych: *Pieśni podróżującego studenta*, które za tak zachwycające, za tak głębokie, za tak boskie, za tak niebiańskie, uznać raczyłaś! Jeżeli to wszystko nie jest w oczach twoich dostatecznem poleceniem, to nie pozostaje ci nic więcéj jak tu przyjechać i przekonać się saméj, czy nie zasługuje on na to byśmy go wszyscy lubili i psuli. Wyobraź sobie Olgo, dwudziesto sześcio letniego człowieka, ani pięknego, ani brzydkiego oblicza, średniego wzrostu, nadzwyczaj kształtnéj postawy, a najwytworniejszych ruchów. Rozmowny, lecz nie gadatliwy, uczony ale nie pedant, zwykle wesoły, niezapominający jednak o poważnéj stronie życia, a charakter jego z pewnością jest tak szlachetny, jak jasny i pogodny umysł któremu równego nie zdarzyło mi się spotkać. Wiedza jego gruntowna i obszerna i przez te dwa tygodnie nauczyłam się od niego więcéj, niż przez lat parę od niezapomnianego pastora B., o którym wszystkie marzyłyśmy na pensyi, i dla którego tak wielkie haftowałyśmy kobierce. Poglądy jego rzuciły mi nowe światło na tysiące rzeczy, a towarzystwo tak korzystnie na mój rozum działa, że już wkrótce naprawdę zasłużę sobie na przydomek *mądréj Heddy*, którym już niegdyś raczyłyście mnie zaszczycić. Jeżeli po tem wszystkiem przyjdzie ci na myśl Olgo, że się zajęłam wspomnionym doktorem, to z twojéj strony myśl niepoczciwa: wszak ty jedna tylko: *znasz moje serce i moją duszę*, jak mówi Faust. Przysięgam ci! że memu Gerhardowi myślą nawet się nie przeniewierzyłam, a do jakiego stopnia jestem mu wier-

ną z tego najlepiéj osądzisz, że chociaż teraz poznałam Pawła, kocham go zawsze niezmiennie. Już jeżeli kto, to Paweł zasługuje na miłość, a przecież nie kocham go, czyli raczéj kocham go tak jak przyjaciela; temi dniami często myślałam sobie, gdyby Bóg dałby mi był brata, taką kochałabym go miłością. Nieuwierzysz nawet droga moja Olgo, jak on jest dobry, miły, skromny i uprzejmy, a przytem tak uzdolniony i mądry! Wiem ja dobrze że Gerhardt i w połowie nie posiada jego wiedzy i zaledwo o tyle jest uprzejmy dla mnie, ile Paweł dla każdéj kobiety, a przecież tego dzikiego, o ileż ja więcéj kocham! To pewna, że nie dlatego go kocham że jest piękniejszy od Pawła lub któregokolwiek ze znanych mi mężczyzn; ja kocham go, ale dlaczego? to nie wiem sama. Paweł mówi że za cud, musielibyśmy uważać wszystko albo nic, i dlatego w miłości, nie wierzy w cuda i twierdzi, że do pewnego stopnia jest obojętnem z kim się żenimy za kogo idziemy, tak go rozumiałam przynajmniéj. A więc dlaczego odrazu, od pierwszéj zaraz chwili serce moje Gerhardowi oddałam? jemu, jemu jedynie! Było to u mojéj ciotki, czy przypominasz sobie? Na moją cześć dawała wieczór, towarzystwo całe siedziało przy herbacie gdy on ukazał się we drzwiach. Oczyma powiódł po całem gronie i na biednéj Heddzie zatrzymał je z tak dziwnym wyrazem, i tak się szczególnie uśmiechnął, że to i twojéj nie uszło uwagi. Ach! tych błyszczących oczu i tych ust uśmiechniętych, nie zapomnę nigdy! A czy pamiętasz te urocze wycieczki wodne jakie układał dla naszego kółka, i ten bal ostatni, na którym rozpoczęłam z nim kotyliona? A potem gdyśmy już były same w cichym naszym pokoiku, wśród tysiąca łez powierzyłam ci tajemnicę naszéj miłości. Zaklęłam ciebie na słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy, byś ją dochowała wiernie i dzięki ci droga Olgo, gdyż dotąd jesteś jedyną naszą powiernicą. Nawet Klementyna nie przeczuwa prawdy, Gerhard wyraźnie żądał by nasz stosunek do czasu został tajemnicą, i gdyby wówczas spowiedź moja w obec ciebie, nie była już faktem dokonanym, do téj chwili nikt by o tem nie wiedział. Szczególny człowiek! Czy chodziło mu o to by naszą kiełkującą miłość zniweczyć? Właśnie wtedy miał „*Neptun*“ odpłynąć w dwóletnią podróż na około ziemi. Po wszystkich staraniach jakie czyniłem, mówił Gerhard, by w zastępstwie porucznika Brauna do wyprawy należéć, ani chcę ani mogę się wycofać, krok taki byłby z ujmą mojéj godności. Czy miłość nasza prawdziwą jest miłością, przekonamy się wtedy jedynie, gdy wszystko niszczący czas nie zdoła jéj zwyciężyć. Wzajemnie nie powinniśmy się wiązać; jeżeli przez miłość naszą nie uczujemy się nierozerwanie połączeni, to każdy inny węzeł byłby dla nas kajdanami. Kto ręczyć może czy nie znajdzie się kto inny, godniejszy ciebie? Mężem twoim powinien być najzacniejszy, nie zaś pierwszy lepszy którego na drodze twojéj napotkasz.

Podróż morska jest toż samo co długa wojenna wyprawa; mogę z niéj nie wrócić, na cóż przedwcześnie miałbym cię czynić wdową? A gdy prosiłam, by mi wizerunek swój zostawił, poważnie spojrzał na mnie mówiąc: czytałem raz w Leopoldzie Scheferze, że na sercu młodéj dziewczyny wrażenia odciskają się łatwiéj, niż na miękkim wosku, ale te wrażenia pozostają tak trwałe, jak trwałym jest dyament! Czyżby to nie miało być prawdą? I cóż na to odpowiedziéć mogłam? Ach okrutnik! wiedział on dobrze że zdobycz jego już mu nie uciecze! Przed nim jedynie korzy się moje śmiałe, niezależne usposobienie; ale rzecz szczególna, odkąd stał się panem mojego serca zdaje mi się, że nad resztą mężczyzn panować mi wolno; w obec nich czuję się tak swobodną, niczem nieskrępowaną! Zmiarkowałam ja zaraz z jakiem zdziwieniem patrzył na mnie Paweł w początku, jakby chciał powiedziéć: czy dzieckiem, czy zalotną jesteś? Wówczas serdecznie śmiałam się cichaczem, wszakże nie mogłam mu powiedziéć, mylisz się, ani dzieckiem, ani zalotną nie jestem, tylko dziewczyną, przekonaną o prawdzie swojego uczucia. Tylko nie śmiéj że się ze mnie ty moja niedobra Olgo, gdy ci powiem co za myśl dziwaczna przychodzi mi często do głowy. Gerhard i Paweł są pewno dawni znajomi, i tego najprzyjemniejszego, najniebezpieczniejszego ze swych przyjaciół przysłał tu Gerhard umyślnie, by miłość moją na próbę wystawić; jeżeli wyjdę zwycięzko i nie zachwieję się w wierności dla niego, wtedy przybędzie sam i powie: teraz najdroższa Heddo, naprawdę już jesteś moją! W gruncie rzeczy obaj oni jednakie mają poglądy na miłość i małżeństwo, z tą tylko różnicą że Gerhard mówi: wybieraj najlepszego; a Paweł mówi; wybieraj, a wybrany niechaj ci będzie najlepszym! Niedawno pytałam Pawła, czy nie wie gdzie się obecnie znajduje *Neptun*? rozśmiał się i odrzekł że o ile mu się zdaje, Neptun oddawna pobierać musi emerytalną pensyą, i zapewne żyje w wielkiem odosobnieniu na jednéj z nieznanych dotąd wysp oceanu Spokojnego, nakoniec przyznał ze wstydem, że téj gałęzi naszéj militarnéj potęgi nie studyował wcale, ale że od téj chwili nie ujdzie jego uwagi najmłodszy nawet chłopiec okrętowy, a cóż dopiero okręt cały.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

(Dalszy ciąg).

Dyrekcya tak nazwanego teatru wiejskiego, jak dotychczas z powodzeniem chce spowodować nowy zwrot, któryby można nazwać sielankowym. Po sztukach Zoli i niektórych Dumasa, choć zajmujących ale budzących pewien wstręt mimowolny, z prawdziwą przyjemnością słuchaliśmy sztuk choć drobnych, ale przynajmniéj rozwijających przedmiot zaczerpnięty z życia domowego, nie mających żadnego związku z ową kałużą moralną nprawianą dzisiaj z takiem upodobaniem. Aby lepiéj zapoznać z nowym rodzajem opowiemy treść niektórych komedyjek, zadziwiających swoją prostotą a mimo tego wzbudzających ogólne zajęcie.

W komedyi napisanéj przez pana Andrzeja Theuriet pod tytułem Poziomki *les Fraises* mamy przedstawionego wiejskiego lwa Jana de Sautenoge, mającego niewielką posiadłość ziemską w pośród lasów na ustroniu zupełnie. Bohater mający dwadzieścia ośm lat życia nie jest wcale mizantropem, przeciwnie zanadto lubi piękne twarzyczki i z tego względu nazwany jest don Żuanem.

Wada tego rodzaju pociąga za sobą koniecznie insze; młody człowiek jest próżniakiem spędza czas na łatwych miłostkach lub zabijając ukradkiem zwierzynę na polach sąsiadów, co nadzwyczajnie surowo wzbronionem jest we Francyi. Jego położenie majątkowe jest rozpaczliwe, ma tyle długów, jak mówi nasze przysłowie, ile włosów na głowie; szczególnéj ściganym jest przez jednego lichwiarza, grożącego mu wywłaszczeniem. Dawny jednak znajomy jego rodziny doktór Brocard, znając poczciwe serce młodzieńca, radby rozciągnąć nad nim opiekę, aby go uchronić od ostatecznéj zguby.

W tym celu radby go pomieścić w żelaznéj fabryce, gdzie z czasem mógłby się wykształcić na mechanika. Jan de Sautenoge jednak choć obiecuje poprawę ze łzami w oczach, zwłóczy jednak takową od dnia do dnia nie mając odwagi do pracy.

Po nocy spędzonéj po za domem, Jan wraca nareszcie do mieszkania przynosząc z sobą tylko co zerwane w lesie poziomki. Niedługo potem przybywa woźnica z Auberive powożący omnibusem publicznym, prosząc o pomoc; zabłąkany w lesie przewrócił i złamał oś, powóz zatem potrzebuje naprawy, a podróżna znajdująca się w jego wnętrzu kilkogodzinnéj gościnności, aby nie być narażoną na działanie promieni słonecznych. Szczególnym zbiegiem okoliczności, kobieta jadąca jest córką owego lichwiarza nieubłaganego. Niewłaściwie jednak nadaliśmy jéj miano *kobiety*, jest to bowiem młoda panienka zaledwie siedmnastoletnia jadąca z pensyi na wakacye. Jan z prawdziwą przyjemnością spostrzega możność zemszczenia się na lichwiarzu, przez zbałamucenie córki będącéj pod jego władzą. Przedewszystkiem jednak chce się jéj przypatrzéć z ukrycia, aby rozpoznać lepiéj jéj usposobienie. Scena jest pełna naiwności i wdzięku, skoro pensyonarka spragniona z powodu podróży dostrzega koszyk z poziomkami. Nie zaproszona nie śmie jeść ale pokusa jest nadzwyczajnie silna, po chwilowem wahaniu nabiera odwagi i skosztowawszy owoce niby dla próby zaczyna takowe jeść w najlepsze. W trakcie tego zajęcia słyszy z przerażeniem głos Jana mówiącego: smacznego apetytu! Młodzi ludzie znali się z widzenia, rozmowa łatwo zawiązaną została w któréj Jan zwyciężony wdziękiem naiwnym, skromnością, dowcipem i szlachetnością panienki, porzucił chwilowo powzięte niecne zamiary poczuwszy pierwszy raz w życiu siłę miłości opartéj na szacunku.

Przedmiot ten właśnie ze względu na swoją prostotę pozorną, nastręczył wielką trudność na scenie, będąc właściwszym do Nowelli. Walka dobréj i złéj strony w Janie Sautenoge, dałaby możność autorowi rozwinięcia wielu poglądów psychologicznych, tłomaczących nagłą zmianę usposobienia w bohaterze powieści; w komedyi zniewolonéj pomieścić wszystko w rozmowie, nie mającéj środka do ujawniania procesu tajemnych uczuć i myśli, zadanie było niełatwe, chociaż ostatecznie przebieg sztuki zadowolnił słuchaczy.

Druga pod tytułem *Powrót z Brukseli*, napisana przez pana Vercousin, może jeszcze więcéj zadziwia treścią swoją w czasach dzisiejszych, i do tego na scenie paryzkiéj. Rzecz dotyczy dwojga kochających się małżonków. Zaiste rzecz nadzwyczajna! z których żadne nie łamie wiary małżeńskiéj. W podobnych warunkach przeprowadzenie intrygi, wydałoby się niepodobnem niejednemu z głośnych dzisiejszych autorów. Pan Vercousin jednak potrafił przełamać trudność i zabawił, o co głównie idzie na wszelkiego rodzaju widowiskach, zebraną publiczność.

Przedmiot sztuki zaczerpniętym jest z życia codziennego: pewną bowiem słabostkę można dostrzedz u ludzi, nawet wysoko stawionych na szczeblach społecznych.

— Człowiek urodził się defraudantem, mówił raz jeden ze starych celników. Pierwszem nadużyciem tego rodzaju, było jabłko przeniesione skrycie z drzewa do ust Adama i Ewy. Jakkolwiek złapano ich na gorącym uczynku i zapłacili grubą karę, potomkowie ich jednak ze smutnego przykładu rodziców nie zaczerpnęli żadnéj nauki: nieszczęsna namiętność góruje nad obawą odpowiedzialności, wszyscy bez wyjątku starają się oszukać straż graniczną przewożąc towar zakazany. Złapałem raz ministra skarbu przewożącego cygara z Belgii do Francyi, chociaż miałem w ręku rozkazy burdzo surowe przez niego podpisane, zalecające zwracać uwagę na

podróżnych aby przez potajemne przewożenie towarów, nie narażali skarbu państwa na stratę.

Sztuka właśnie opartą jest na téj słabości ludzkiéj. Młoda małżonka imieniem Julia wracając z Belgii do Paryża, chce przewieźć koniecznie potajemnie słynne koronki brukselskie. Mąż sprzeciwia się temu stanowczo, nie chcąc narażać się na odpowiedzialność i wstyd, gdyby dostrzeżono na granicy przewożony towar. Aby jednak nie zasmucać młodéj małżonki, dozwala jéj kupić wiele chce koronek, z warunkiem okazania takowych na granicy w biórze celnem. Ta okoliczność właśnie nie podoba się Julii, koronki będą piękniejsze skoro z ich posiadaniem, jako owocem zakazanym, połączone będą wrażenia trwogi i radości, po szczęśliwem uniknieniu oka niegodziwych strażników.

Pokusa jeszcze zwiększoną była przykładem kilku przyjaciółek młodéj mężatki, z których każda uważałaby za grzech śmiertelny nie korzystanie z nastręczonéj sposobności, potajemnego przewiezienia ulubionego przez panie towaru.

Jedna z nich imieniem Matylda, określa zapatrywanie swoje w tej mierze w następujący sposób: — Obronić swoją kieszeń, od chciwości istoty nazywanéj państwem, nie jest grzechem ale zasługą. Zresztą państwo to istota urojona, nigdzie go dojrzéć nie można. Wszyscy bez wyjątku składamy się na jego wytworzenie, a nikt przecież nie kradnie samego siebie.

Przybywają na granicę. Podróżne jakoś szczęśliwie uniknęły grożącego niebezpieczeństwa, to samo prawdopodobnie byłoby i z Julią, gdyby nie jéj małżonek imieniem Gustaw. Chce on dać małą nauczkę pięknéj połowicy, a przekonany że ta nie wiezie towaru, wskazuje ją strażnikom do baczniejszéj rewizyi. Tym sposobem koronki są wykryte, nieszczęsny małżonek żarcik przez siebie zrobiony zniewolony jest wynagrodzić grubą opłatą.

Sztuki tego rodzaju znajdują właściwe pomieszczenie w mniejszych teatrach, zaznaczony jednak nowy zwrot musi być głębszego znaczenia, kiedy nawet pierwszy teatr paryzki *Comedie Francaise* poszedł za przykładem idącym z dołu. Każda nowa sztuka dostępująca zaszczytu przedstawienia na jego scenie, jest pewnego rodzaju wypadkiem zwracającym na siebie ogólną uwagę. Autor dopiero wtenczas staje na szczycie sławy i znaczenia, skoro jego sztuka przedstawioną była w *Comedie Francaise* i doznała dobrego przyjęcia. Dyrekcya z zasady nie ubiega się za nowościami, z trudnością uchyla podwoje dla pisarzy nieznanych, zbytnia rozmaitość jako niezgodna z powagą usuniętą jest z programu; tradycya przemaga, stosownie do przyjętego zobowiązania sztuki klasyczne choć pokryte nieco pleśnią górują, a od czasu do czasu wznowione sztuki Wiktora Hugo, należące bez wyjątku do szkoły szekspirowskiéj, mające wszystkie jéj wady i zalety, przerywają zbytnią jednostajność. Przez cały rok dyrekcya nie dała nowéj sztuki, to też Paryżanie zaciekawieni zostali, skoro zapowiedziano komedyą dotychczas nie graną pod tytułem Petit Hotel, napisaną przez panów Meilhac i Halevy.

Przedmiot jest również sielankowy jak w teatrze wiejskim, niemoralność ukazaną jest zaledwo w pół cieniu, miłość dwojga kochanków wedle wszelkich praw boskich i ludzkich góruje, nowy więc rodzaj miał przebyć próbę czyscową przed sądem publiczności przyzwyczajonéj do wzniosłych przedmiotów klasycznych, lub żywéj walki namiętności uwydatnionej z pewną przesadą w sztukach nowoczesnych. Sztuka Petit Hotel, przenosi nas do innego świata, pałającego wiarą, nadzieją i miłością, a odwracającego oblicze do każdego choćby najmniejszego zepsucia. Treść jéj prosta, jak we wszystkich komedyach podobnego rodzaju. Młody hrabia de Boismartin ma żenić się z młodą wdową panią Antoniną de Cernay; w téj mierze przychodzi nawet do ostatecznych przygotowań, do ułożenia listy osób zaproszonych na uroczystość. Przedmiot ten na pozór drobny daje powód do nieporozumienia: narzeczony chce zaprosić panią Piétra Néra; narzeczona nie zgadza się na to ze względu na zbytnią kokieteryą téj pani. Młodzi ludzie rozchodzą się z żalem wzajemnym, ze względu jednak na podszepty miłości własnéj, żadne z nich nie chce zrobić piewszego kroku do zgody. W trakcie tego wystawionym jest na sprzedaż pałacyk należący do pana de Marsilière, starego kawalera zakochanego właśnie w pani Piétra-Néra i mającego zamiar ożenić się z nią. Zbyt zalotna kobieta lubiąca przepych, chce mieszkać daleko okazaléj, i z tego powodu de Marsilière zniewolonym jest sprzedać dom, do którego przywykł od dwudziestu pięciu lat.

Młody hrabia zniechęcony do świata a szczególniéj do kobiet, chce właśnie kupić ten dom aby tam żyć samotnie, i w tym celu przychodzi obejrzyć go. Dziwnym zbiegiem okoliczności niedoszła jego małżonka pani de Cernay powzięła ten sam zamiar, spotykają się więc oboje niespodzianie zupełnie. Następuje scena nadzwyczajnie zabawna, ułożona z niepospolitym talentem, która prawdopodobnie uchroniła sztukę od upadku. Pan de la Marsilière zna bez wyjątku wszystkie osoby należące do wyższego świata, zna więc i dwoje młodych ludzi: z wujem pana de Boismartin grywał w pikietę, z ojcem pani de Cernay polował często; występuje przeto w charakterze pośrednika, chcąc przede wszystkiem zbadać przyczynę nieporozumienia. Pani de Cernay gotowa jest opowiedzieć wszystko, ale pod warunkiem aby jéj przeciwnik pan de Boismartin, zachował bezwarunkowe milczenie.

W wykonaniu warunek ten nabiera bardzo obszernego znaczenia; młodemu człowiekowi nietylko niewolno wymówić żadnego wyrazu, ale wszelki wykrzyknik, giest, zmieniony wyraz twarzy, są mu wzbronione. Skoro zaś zachowuje postawę nieruchomą jak posąg, oskarżonym jest o okazywanie jawnéj pogardy. Porozumienie ustne niepodobne, wedle więc rady pana de Marsillière postanawiają pisać wzajemne zarzuty i odpowiedzi, które szanowny pośrednik ma odczytywać głośno. To wszystko przedstawione wesoło i nadzwyczajnie dowcipnie, wzbudza ogólne śmiechy. Ostatecznie, co można było łatwo przewidzieć od początku spotkania młodych ludzi, zgoda przywrócona, pan de Boismartin poślubi panią de Cernay, ale za to inne małżeństwo nie przyjdzie do skutku. Objaśnienie przyczyny niezgody między dwojgiem narzeczonych, wykrywa przed nieszczęsnym starym kawalerem panem de Marsillère, różne okoliczności niebardzo zaszczytne dla jego przyszłéj pani Piétra Néra.

Zamierzony więc związek jest zerwanym, de Marsillière zostanie do śmierci starym kawalerem, ale nie bez pewnéj korzyści, bo nie ma już potrzeby opuszczać pałacyku do którego przywykł oddawna.

Tego rodzaju sztuki będą prawdopodobnie zwrotem krótkotrwałym, stanowiącym przejście do nowego rodzaju, odpowiedniego do dzisiejszych potrzeb.

(d. c. n).

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Paryż 1 maja 1879 r.

Nie raz już podnoszono pytanie, czy ta lub owa zmiana mody, jest poprostu kaprysem, czy téż należy głębiéj wyszukiwać jéj przyczyn. Moda jak utrzymują myśliciele jest w wielkiéj części objawem usposobień panujących w czasie; historya ciągłych jéj przemian, harmonizuje według nich z kierunkiem myśli ludzkiéj. My sądzimy, że jak we wszystkiem tak i tu, prawda dwóstronnie się przedstawia. Ci którzy wymyślają nowości idą niewątpliwie za popędem kaprysu; ależ nie oni sami wyrokują o modzie; mnóstwo pomysłów upada w zawiązku, a te tylko upowszechniają się i stają właściwą modą, które ogół przyjmie, jako odpowiednie jego chwilowym usposobieniom.

Do tych uwag dały nam pobudkę słowa rzucone kilka miesięcy temu w jednym z poważniejszych przeglądów. Autor rozprawki téj, smutne wyprowadzał wnioski z przyjętego powszechnie stroju kobiet. „Te suknie obcisłe, mówił on, te podpięcia, kokardy, i garnirunki, pomieszczone na tylnych brytach, pokazują smutny kierunek myśli niewiast naszych, świadczą bowiem o niepokoju ducha, zapowiadają emancypacyjne jakieś dążności. Suknie te zdają się przeznaczone wyłącznie na ulicę, usiąść w nich bardzo trudno. Przy takim zwrocie myśli, biada ogniskom naszem!"

Nie chcemy sądzić o ile uzasadnione były te obawy pesymisty, powiemy tylko że kierunek mody jaki w téj chwili spostrzegamy, powinien by go zaspokoić. Suknie wiosenne znacznie rozszerzone po bokach, nie wymagają koniecznie stojącéj lub chodzącéj postawy, garnirunek z tylnych brytów przeniesiony na przednie, pozwala zasiąść w krześle z całą swobodą; niechże się podejrzliwi panowie nie trwożą o losy opuszczonych ognisk domowych.

Przejdźmy teraz na pole właściwéj mody. Plony przed nami tak bogate, skutkiem wystaw wiosennych po magazynach, że nie wiemy doprawdy od czego zacząć żniwo nasze. Każdy wielki magazyn występuje z jakąś wyłączną specyalnością: *Luwr* pokazuje bardzo ładne tkaniny z bawełny; to jakiś rodzaj dymki atłasowéj w mozajkowy deseń *pompadour*, to suknie gładkie szare lub popielate, z bogato haftowanym szlakiem i takąż kamizelką; to sztuczki surowego perkaliku w drobny deseń, z odpasowanym brzegiem na tak zwaną *matinée*, czyli spódnicę z długim paletotem. *Petit St. Thomas*, wystąpił z ładnemi pekinami, tak z bawełny, jak z wełny, i jedwabiu. Uważaliśmy tam ładne materyjki w dwóch kolorach: różowym i popielatym, szamua i morderowym, blado niebieskim i ciemno granatowym, lipowym i myrtowym. Suknia ma zwykle kilka falbanek wązkich, mocno zaprasowanych, ułożonych w ten sposób, że jedna przedstawia się w jednym druga w drugim kolorze. Noszono już podobne falbanki, teraźniejsze tem się odróżniają, że przez mocne zaprasowanie, tworzą raczéj szlak niż właściwą falbankę. Z perkaliku robią podobne spódniczki do Polek w jednostajnym, odpowiednim kolorze. Magazyn *Aux Trois Quartiers*, wystawił rozmaite wschodnie tkaniny: japońskie, indyjskie i chińskie, z lekkich włókien roślinnych, odpowiednich tym okolicom. Podobała nam się szczególniéj tkanina gładka w jednym kolorze, zwana *Crepon de l'Inde*, wygląda bowiem jak krepowana. Ładne niemniéj wyroby japońskie, w różnokolorowy rzucik na tle popielatem, szarem, blado zielonkowatym, lub czarnem. Spódniczka bywa gładka, objęta plisą albo

falbanką w rzucik: kamizelka do tego w rzucik równie jak wyłogi u rękawów. Magazyn, *Bon marché*, celuje szczególnéj wełnianemi wyrobami w rozmaitych odcieniach: trzy rodzaje tych tkanin zwróciły uwagę naszą: gęsty bareż, prawie nie przezroczysty, zwany *Barege de Virginie*, cieniuchny wigoń letni, w kolorach szarym i popielatym, wreszcie indyjski kaszmir w różnych gatunkach i na różne też ceny, metr od 2 do 10 franków. Najdroższe tylko gatunki widziały brzegi Gangesu, lżejsze wyrabiane po francuzkich fabrykach.

Opiszemy teraz kilka letnich kostiumów, które widzieliśmy w powyższych magazynach: na ulicy dotąd z powodu brzydkiéj pory, noszą tylko futra lub kortowe okrywki od deszczu. Oto kostium z *Bon marché*.

Spódniczka z kreponu wełnianego w popielatym kolorze. U dołu, idzie wolant plisowany, zakończony brzegiem materyą czarną na trzy cale; druga spódnica, ma tył objęty szerszą plisą z czarnéj materyi; z przodu naszyta trzy razy także plisa, tworzy wielkie zęby wcięte w górę, w samym środku przedniego bryta. Z pod każdego wcięcia spada kokarda z czarnéj wstążki jedwabnéj. Stanik do tego francuzki, przedłużony w ząb, tak w tyle jak po bokach; obłożony u dołu plisą jedwabną. Przód stanika zupełnie otwarty; pod spód dana czarna jedwabna kamizelka, spięta na rząd guzików. Z obu stron stanika naszyte guziki i pętelki z czarnéj pasmanteryi, jakby przytwierdzające stanik do kamizelki.

Drugi kostium z Petit St. Thomas, składa się z tkaniny wełnianéj dwojakiego rodzaju: jedna zupełnie gładka w kolorze szarym, druga na tymże tle w maleńkie kolorowe bukieciki. Pierwsza spódniczka w deseń, ma trzy gładkie plisowane wolanty, naszyte w odstępach. Na to idzie druga spódnica gładka, podpięta lekko w tyle kokardą z długiemi puklami. Oba przody odwijają się na bok: wyłożenie to podbite tkaniną w bukieciki, przytwierdzone do boków sukni, rzędem szmuklerskich guzików. Stanik francuzki gładki, na kamizelce w deseń. U rękawów, odwinięty mankiet w bukieciki.

U obu powyższych kostiumów spódnica zaledwie że dotyka ziemi. Opiszemy teraz suknię, przeznaczoną na obiad proszony z dosyć długą powłoką.

Suknia ta czarna z materyi *faille*, zrobiona do rogówki ma pierwszą spódniczkę do ziemi, całkiem układaną w podłużne plisy. U dołu idą dwa wolanty szerokie na cwierć łokcia, fałdowane w grube kontrafałdy w odstępach, przytwierdzone w górze wązką pasmanteryą. Nad wolantami, bryt materyi ułożony w cztery zakłady, przepięte z przodu węzłem, otacza spódnicę w miejscu kolan. Na wierzch idzie druga spódnica, z boków nadzwyczaj krótka, pokrywająca tylko fiszbinowe koszyki (paniers), objęta u dołu rzęsistą jedwabną frendzlą w tyle zaś przedłużona i tworząca powłokę. Tylne bryty oprócz frendzli, ogarnirowane jeszcze u ziemi, szerokim wolantem plisowanym. Stanik francuzki, długi, roztwarty na przodzie; z pod spodu wygląda kamizelka, układana w drobne podłużne fałdki, przeszywane w odstępach wązką pasmanteryą. Przody stanika mocno rozwarte po bokach, schodzą się zupełnie u dołu.

Dajemy tu jeszcze opis ślubnéj sukni, która zwróciła uwagę naszę w kościele. Jedwabna spódniczka do ziemi cała układana była w poprzeczne zakłady szerokie na trzy palce. U dołu szły dwie wązkie falbanki plisowane drobno; każda miała wypuszczoną do góry główkę. Stanik długi obcisły, zupełnie gładki, sznurowany był z tyłu. Od przedłużonych pleców, spadała bardzo długa powłoka, podpinana w odstępach, ogarnirowana u dołu jedną plisowaną falbanką. Dwie takież falbanki tworzyły mankiet u rękawa. U szyi lekka fryzka illuzyowa, podpięta atłasową kokardą, dopełniała poważnego stroju. Bukiecik z kwiatu pomarańczowego, przytwierdzony był, na lewym boku staniku. Mały wianek przysłonięty jak zwykle illuzyą, otaczał tylko sam przód głowy.

Na tymże ślubie uważaliśmy w kościele ładne wizytki, z Sycylianki czarnéj. Jedna z nich ogarnirowana trzy razy, koronką i pasmanteryą, zakończona była jedwabną frendzlą szeroką blizko na ćwierć łokcia. Przez cały środek pleców szła piękna pasmanterya, z dwoma u dołu chwastami.

Inna bardzo strojna wizytka, miała u dołu dwie falbanki z koronki Chantilly, nad niemi szła pliska z aksamitu w paski na tle klarownem, z pod plisy wychodziła znów w górę wązka falbanka koronkowa. Podwójna plisa, aksamitna, naszyta była w podłuż pleców.

Nowość tegoroczną w okrywkach, stanowią ładne bardzo szaliki, z kaszmiru indyjskiego lub też lekkiéj tkaniny wełnianéj, haftowane kolorowym jedwabiem, objęte jedwabną frendzlą. Noszą je w rozmaitych odcieniach: białe, czarne, szare, błękitne i t. d., wszystkie odwinięte przez środek, mają haft podwójny, można przerzucić je na piersiach, albo też puścić wolno. Długość ich rozmaita; szaliki przeznaczone dla młodych osób, dosyć krótkie, nie wiele przechodzą, po za francuzki stanik. Mężatki noszą je długie do kolan.

Inną tegoroczną nowość, widzimy w parasolikach, pokrytych fularową chustką w wielkie kwiaty, w kolorach bardzo żywych. Podbite są zwykle białą lekką materyą. Są też skromniejsze parasolki w tym rodzaju, pokryte chustką perkalową w wielki deseń, na tle czerwonem. Przygotowano je zapewne do wód i kąpieli morskich; na ulicy wyglądałyby za jaskrawo. Noszą tu parasoliki z pekinu w drobne paski, objęte w koło frendzlą.

W kapeluszach dziwna panuje rozmaitość. Jedne z nich ogromne, mają rondo wysunięte na przód, na kształt rydla u dawnych czapek męzkich, inne znów bardzo małe. Do ubrania używane wieńce z polnych kwiatów, melisy, rumianku, kluczyków i t. p. Widzieliśmy inne; otoczone gerlandą z owsa, przetykaną w odstępach bławatkami lub makówkami. Bardzo oryginalnie wygląda gerlanda z drobnych szyszek lub też ze mchu w różnych odcieniach. Na innych kapeluszach widać znów ogromne ptaki, z szaremi piórkami, z pomarańczowym, albo pąsowym gardłem. U innych wszystkie pióra płomieniste, biją zdaleka w oczy. Mniéj jaskrawo lecz wcale nie estetycznie, przedstawia się na kapeluszu kuropatwa, naturalnéj wielkości. Wszystkie te fantazye przeznaczone zapewne do morza, na ulicy nie pokazują się wcale.

Jako nowość zapisujemy tu jeszcze paletociki i wizytki w kolorze piaskowym; noszą je tak z wigoniu jak z kaszmiru; strojniejsze naszywane pasmanteryą i frendzlą, skromniejsze poprostu pikowane w maszynie.

Do podróży, przygotowano po magazynach mnóstwo długich paletotów z szarego płótna, zwanych *cache poussiere*, gdyż celem ich zasłaniać ubranie od kurzu.

SZARADA
ułożona
PRZEZ
Ludwika Niemojowskiego.

Wśród złudnych losu kolei,
Wrażliwe życie młodzieży,
Zbarwione kwiatem nadziei,
Jak *druga trzecia* w dal bieży;
A człowiek nie pomnąc na to,
Że zawód z złudą się plecie,
Nad chwili rozkosznéj stratą,
Wciąż *pierwsze drugie i trzecie*.
Choć widzi na każdym kroku,
Do szczęścia drogi otwarte,
On pragnie szczęścia bez mroku,
Jak deszczu *trzecie i czwarte*;
A szybkim zdążając chodem,
Troski zrazu nie spostrzega,
Gdy zaś się spotka z zawodem,
Wszystko z ust jego wybiega,
Ginie w nim męztwo, otucha,
Przez trudy zdobyte długie,
A Bóg za tę słabość ducha,
Nieszczęsnego *trzecie drugie*.
Gdy więc komu źle na świecie,
Gdy na przekor los mu stoi,
Niech nie *pierwsze, drugie, trzecie*,
Ale męztwem pierś swą zbroi;
A stojąc w polu otwartem,
Zmoże walką przeciwności,
Bo wiara życia jest hartem,
Wszystko, dowodem słabości.

Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 18:
Po-ko-ra.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 25 Апрѣля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

„Powstrzymał ją jednem skinieniem; opuściła głowę drżąca i zmieszana jak ukarane dziecko.

— „Nie zbliżaj się do mnie! rzekł głosem tak zimnym i lodowatym, jak wyraz jego utkwionych w nią oczu. Jeźliś nie ogłuchła od owéj nocy w któréj Lowell zakończył życie a ty tak umiałaś podsłuchiwać pode drzwiami, z miejsca w którem stoisz usłyszysz doskonale co ci mam powiedzieć. Nie zajmę ci wiele czasu i niepotrzebnie okazujesz tak wielkie przerażenie. Nie myślę cię zabijać—minął już czas w którym mógłbym się tego dopuścić. Wyznaję jednak iż gdybyś pięć miesięcy temu, nie była owéj pamiętnéj nocy podsłuchiwała pod drzwiami a następnie nie ratowała się ucieczką, gdybym cię był zastał powróciwszy, nie byłabyś więcéj oglądała światła dziennego. Ogarniał mnie szał oburzenia i rozpaczy i gdybym cię był spotkał owéj nocy, pewnie zostałbym zabójcą.

„Wszystko to wypowiedział grzecznie, głosem przytłumionym, ale w jego siwych głębokich zwróconych na nią oczach, tkwił wyraz tak nieubłaganéj nienawiści, iż opisać go niepodobna.

— „Miéj litość nademną, Gordonie!... zawołała zanosząc się od płaczu.

— „Litość nad tobą! powtórzył z niewysłowioną pogardą, czyż nie pojmujesz że ani palcem dotknąć cię nie myślę, zarówno jak nie ruszyłbym się z miejsca dla uratowania ci życia gdybym widział że toniesz w nurtach rzeki. Jesteś umarłą dla mnie, jak gdybyś nią była owéj strasznéj nocy, gdybym zastawszy cię w naszym pokoju, własnemi był zadusił rękami. Tak szał miłości jak gniew zupełnie się już rozwiały, odtąd już niczem nie jesteś dla mnie. Powiedziano mi że zamieszkałaś tu aby się ukryć, drżąc podobno nieustannie z obawy o swoje życie, niechże się to raz skończy. Jesteś zupełnie wolną i możesz udać się dokąd zechcesz, przebywać gdzie ci się podoba, od dziś nie chcę nigdy już widzieć cię ani żywéj ani umarłéj!

„Z piersi jéj wydarł się straszny krzyk, jakby skazańca ugodzonego knutem, i znowu wyciągnęła ku niemu dłonie, z niemą, błagalną prośbą.

— „Nie myśl czasem że przybywam do Kwebeku szukać ciebie, mówił daléj zimno i bezlitośnie; przyjechałem aby się pożegnać z jenerałem Forrester, komendantem tutejszéj cytadeli, gdyż na zawsze opuszczam Kanadę... tę przeklętą krainę w któréj na moje nieszczęście poznałem ciebie.

„Z głuchym jękiem ukryła twarz w dłoniach; na jego ustach zaigrał okrutny i pogardliwy uśmiech. Nienawidziłam go w téj chwili za straszną boleść jaką zadawał méj pani.

— „Może pragniesz dowiedzieć się jakim sposobem dowiedziałem się o twoim tu pobycie i dla czego przyszedłem, mówił daléj powolnie, słuchaj więc: Wczoraj koledzy moi rozmawiali o jakiejś bardzo tajemniczéj wdowie, jak słyszeli bardzo młodéj i bardzo pięknéj, która wynajęła nigdy nie zamieszkiwany dom na bagnie i zamknęła się w nim kryjąc się przed światłem dziennem i przed wzrokiem ludzi. Niepodobna im było dowiedzieć się kto ona jest, ani też zkąd i po co tu przybyła. Nareszcie ktoś z obecnych powiedział iż wie od właściciela Saltmarsh że lokatorka jego nazywa się pani Gordon. Zanim wymienił nazwisko, zrozumiałem że to o tobie mowa, że uciekłszy z Torouto schroniłaś się tutaj i że znalazła się nareszcie kobieta która była moją żoną.

„Ręce jéj wyciągnięte ku niemu opadły; po raz pierwszy wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy, jak gdyby ostatnie słowa tak boleśnie ją dotknęły iż wstrząśnienie to dodało jéj siły.

— „Która była twoją żoną! zawołała unosząc się; która jest twoją żoną, Gordonie! Nic, nic w świecie, i twarz jéj rozpromieniała gdy mówiła te słowa, nic w świecie chyba śmierć tylko może nas rozłączyć.

„Słuchał tych jéj słów z zimno-okrutnym uśmiechem i milczał chwilę wpatrując się w nią z wyrazem bezlitośnego tryumfu.

— „Nic w świecie nie może nas rozłączyć! nic chyba śmierć tylko... na to odpowiem później. Zrozumiawszy że koledzy moi mówili o tobie, pomyślałem sobie: Pójdę do niéj jutro, popatrzę na nią po raz ostatni i zobaczę co też jest w téj lalkowatéj piękności, w jéj pomarańczowych oczach, w jéj regularnym nosie i wielkich jedwabnistych włosach, że ślepi szaleńcy o wszystkiem zapominają dla niéj; Opuść ręce, Rozamundo; odsłoń twarz, niech ci się przypatrzę.

„Jego spojrzenie, jego uśmiech, przejmowały ją jakąś niewypowiedzianą obawą, drżała jak listek i nie wiedząc o tem, mimowolnym ruchem, zasłaniała twarz rękami. Na to jego wezwanie opuściła je na dół, ukazując twarz śmiertelnie bladą i szeroko otwarte oczy, w których tkwił wyraz bezmiernéj boleści i przerażenia.

— „Gordonie, miéj litość nademną! zawołała, ja cię kocham!...

„I znowu wyciągnęła ku niemu błagalne dłonie, i znowu skinął rozkazująco aby nie ważyła się zbliżać do niego. Zimny, bezlitośny jak posąg z kamienia, rzekł tylko surowo:

— „Czekaj!

„Była posłuszną.

„Niewidziana, przypatrywałam się z niewysłowionem zajęciem téj dramatycznej scenie. On wysoki i wyprostowany, stał z dumnie podniesioną głową patrząc na nią wyniośle; twarz jego była blada i zimna jak marmur, na ustach przesuwał się pogardliwy uśmiech. Ona stała przed nim pochylona kornie; w jéj prześlicznéj twarzy widniał wyraz bezgranicznéj boleści i przerażenia, maleńkie usteczka drżały nieustannie... była zachwycająco piękna i z pozoru przynajmniéj wydawała się niewinna. Oto jak się przedstawiali moim oczom: on, pomimo swéj młodéj i sympatycznéj twarzy jako surowy i nieubłagany sędzia, ona jako drżąca oskarżona, obraz ten sprawiał na mnie nadzwyczaj przykre wrażenie.

— „Rozamundo, jesteś bardzo piękna, rzekł nareszcie, piękna wyjątkową pięknością Ninony de l'Endos, która jeszcze w lat sześćdziesiąt zachwycała wszystkich, i nie wątpię że będziesz prowadzić daléj szatańskie swe dzieło. Dla twéj piękności, dla posiadania cię przez cztery miesiące, utraciłem wszystko co serce człowieka najwięcéj kocha i ceni: nazwisko, dobrą sławę, przyjaciół, majątek... wszystko. Nie będę już nawet nosił nazwiska mego, zniesławionego tem żem go nadał tobie, dowiedz się o tem. Ojciec mnie wydziedziczył... stałem się pośmiewiskiem dla wszystkich znajomych i sam, gdy rzucę okiem w przeszłość wstydzę się mego szaleństwa. Kochałem cię... pokładałem w tobie nieograniczoną ufność... Mój Boże! zawołał z wyrazem głębokiéj boleści w głosie i twarzy, ja, zaślubiłem ciebie... ciebie!... Ty i Lowell wybornie odegraliście wasze role, tak wam nakazywał interes, a z takim szaleńcem jak ja zadanie było dość łatwe: Miałaś słuszne powody do obawy i zrozumiałaś to doskonale... Raz jeszcze powtarzam dobrześ zrobiła ratując się ucieczką. Wybiegłem z pokoju Lowell'a jak obłąkany i gdybym spotkał cię wtenczas, zabiłbym cię, przysięgam na to!

„Cofnęła się drżąc cała z przestrachu.

— „Nie drżyj tak... nie lękaj się już niczego, mówił daléj głosem w którym nie było już czuć żadnego gniewu lub uniesienia, wszak powiedziałem ci że wszystko to już minęło, że wszystko skończone. Chciałbym jedynie, zanim się rozejdziemy, usłyszeć z ust twoich raz tylko, raz jeden, wyznanie prawdy, pomimo że go nie potrzebuję, pomimo że wiem iż mogę zawierzyć zupełnie słowom konającego Lowell'a.

„W miejsce odpowiedzi cofnęła się znowu i łkając głośno ukryła twarz w dłoniach.

— „Tak, ukryj, rzekł z goryczą, ukryj na zawsze przed wzrokiem wszystkich najpiękniejsze i najobłudniejsze rysy jakie można spotkać na świecie... ale mów... mów, jeżeli usta równie zdradliwe mogą wyrzec prawdę... powiedz mi że tak było rzeczywiście jak mówił Lowell.

— „Gordonie, miéj litość nademną!

— „Czy tak było rzeczywiście?

— „Ja cię kochałam, Gordonie. Przysięgam ci, na to niebo rozciągające się nad naszemi głowami, kochałam cię ze wszystkich sił mojego serca.

„Zdawało się że wybuchnie śmiechem pomimo tak niestosownéj do tego pory.

— „Twego serca!...: Jakież to bez najmniejszego sensu rzeczy wypowiadają niekiedy ludzie. Nie powinnaś nigdy mówić o twem sercu ani o twéj miłości... Wiem ja dobrze jaką one posiadają wartość. Odpowiedz na moje pytanie: Czy opowiadanie Lowella jest zgodne z prawdą? Jedno tylko słowo.., Tak czy nie?

— „Gordonie, ja cię kochałam... Mój Boże! jakże ja go potrafię przekonać...

— „Czy to prawda?... Tak lub nie?

— „Gordonie, przysięgam ci...

— „Czy to prawda? krzyknął z błyszczącemi gniewem oczyma. Nie chcę próżnych słów. Tak, czy nie!

— „Tak, ale...

— „Dosyć tego. Nie traćmy próżno czasu. Wiem iż gotowaś przysiądz że czarne jest białem, ale zu-

żytkuj lepiéj ten talent na scenie, zapewnie będzie ci potrzebnym wkrótce. Wróćmy teraz do tego co mówiłaś przed chwilą, że jesteś moją żoną... że tego nic zmienić nie zdoła, tylko śmierć jedna. Bądź łaskawą przejrzyć to uważnie.

„Wyjął z kieszeni gazetę którą jéj podał. Było w téj chwili w wyrazie jego twarzy coś takiego co bardziéj jeszcze przestraszyło moją panią; ręce jéj drżały tak silnie że naprózno usiłowała rozłożyć gazetę. Spojrzała na niego błagającym wzrokiem i odezwała się cichym i drżącym głosem:

— „Nie mam siły. O! co tam może być, Gordonie?

— „Wyrok rozwodowy, odpowiedział zimnym i ponurym głosem. W tydzień po twojéj ucieczce i śmierci Lowell'a, podałem prośbę o rozwód którego mi też nie odmówiono. Znajdziesz w téj gazecie wszystkie szczegóły téj sprawy... będziesz je mogła przeczytać kiedyś dla rozrywki. To właśnie zatrzymało mnie tak długo w Kanadzie którą za czterdzieści ośm godzin opuszczę już na zawsze. Przypadek zbliżył nas tu dziś po raz ostatni.

„Umilkł i zamierzał już odejść, gdy skinęła ręką i wyszeptała: „Czekaj" prawdopodobnie jednak byłby odszedł nie zważając na to, gdyby nie straszna zmiana którą ten cios ostateczny wywołał na twarz méj pani. Przez chwilę zdawało mi się że on nawet był tem zaniepokojony.

— „Czy to prawda... co mi powiedziałeś o tym... o tym rozwodzie?

„Wymówiła te słowa głosem chrapliwym, przytłumionym, mnąc konwulsyjnie w ręku gazetę.

— „Najściślejsza prawda, odpowiedział z lodowatą oziębłością. Przeczytaj a przekonasz się.

— „Więc już nie jestem twoją żoną?

— „Nie jesteś już moją żoną, dzięki Bogu i miłosiernym prawom tego kraju.

— „I od dnia dzisiejszego, od téj chwili, już mnie nigdy ani widzieć ani znać nie zechcesz?

— „Jeżeli to tylko będzie w mojéj mocy, nie spotkamy się już nigdy w życiu.

— „A więc posłuchaj mnie także!

„Wyprostowała swą drobną kibić, i zdawało się że urosła nagle; oczy jéj rzucały błyskawice gniewu.

— „Przyznaję że wyznanie Lowell'a było prawdziwe... zupełnie prawdziwe... co do wszystkich szczegółów, z wyjątkiem jednego, to jest, że zaślubiłam cię dla twego wysokiego stanowiska, dla twego nazwiska i majątku... Nie przeczę że to pociągało mnie ku tobie, że przywiązywałam do tego wielką cenę, ale największy wpływ wywierała na mnie moja miłość, bo pokochałam cię całem sercem. Tak... tak... Gordonie, nawet takie jak ja kobiety mogą kochać prawdziwie, i od dnia w którym włożyłeś mi na palec tę obrączkę, byłam niezmiennie; tak uczynkami jak myślą i słowami, twoją dobrą i wierną żoną. Dla biebie, gdyby zachodziła tego potrzeba, nie wahałabym się żebrać, dla ciebie nie lękałabym się nawet najcięższéj pracy... dla ciebie byłabym chętnie oddała życie... Teraz jestem rozwódką, żoną odtrąconą na zawsze, jak to powiedziałeś... Niech i tak będzie! ale przysięgam że spotkamy się jeszcze, że będę cię nienawidzieć stokroć więcéj niżeli cię kochałam, i że kiedyś, tak pewno jak to że dziś oboje żyjemy, zemszczę się za twoje postępowanie. Gdybyś mnie był zabił owéj nocy w uniesieniu gniewu, wraz z ostatniem mojem westchnieniem byłbyś odebrał moje przebaczenie. Gdybyś mnie był wygnał zdala od siebie, odeszłabym bez szemrania, zachowując aż go grobu twoją tajemnicę... Teraz cały świat znać ją będzie. Nie przebaczę ci nigdy tego rozwodu którego zażądałeś z tak zimną krwią. Odejdź, Gordonie... ale pamiętaj że tak pewno jak to że teraz patrzymy na siebie, prędzéj czy późniéj zapłacisz mi za twoje ze mną postępowanie.

„Podniosła rękę w górę ruchem dzikim i teatralnym; wymówiła z gniewem te namiętne słowa, twarz jéj poczerwieniała ze złości, a oczy ciskały ogniem.

„Wszakże byłoby jéj to wyszło na jedno gdyby zamierzyła rozczulić skałę. Słuchał jéj z uśmiechem pogardliwym, znieważającym, zdolnym przywieść do szaleństwa nawet mniéj rozdrażnioną kobietę.

— „Wypowiedziałaś to doskonale, Rozamundo, powiedział, ale po tylu latach praktyki scenicznéj nie ma w tym nic dziwnego. Zresztą stracona to praca, gdyż jak na teraz nie ma kto ocenić twego talentu. Gdybym był tak nieszczęśliwym abyśmy się jeszcze kiedyś spotkać mieli, to mam nadzieję że bronić się potrafię.

„Odwrócił się po tych słowach i odszedł prędko, nie spojrzawszy ani raz za siebie.

„Pozostała na tem miejscu na którem ją pozostawił, bez ruchu, bez głosu, prawie bez życia, ścigając go tylko wzrokiem. Tak, zniknął jéj z oczu i tylko było już słychać odgłos jego kroków.

„Zbliżyłam się wtenczas do niéj, bo mnie przestraszył wyraz jéj twarzy. Zwróciła się ku mnie wolno, trzymając ciągle w ręce tę nieszczęsną gazetę.

— „Śniło mi się, rzekła, że mi przyniósł wyrok śmierci i przyniósł go!

„Potem bez jednego już słowa, bez jednego nawet ostrzegającego mnie krzyku; padła zemdlona na piasek.

„Nie umiem powiedzieć jakim sposobem potrafiłam ją wziąść na ręce i zanieść do domu, wiem tylko że to zrobiłam i że położyłam ją na jéj łóżku. Wspaniały księżyc i świetne gwiazdy oświecały w téj chwili czerwcowy wieczór.

„Stara Bettyna, najemnica, znajdowała się jeszcze w kuchni; powierzyłam jéj staraniom panią, a sama pobiegłam do miasta po jakiegoś doktora, bo była bardzo źle, tak źle że można było wątpić czy dożyje do rana.

„Zegary Kwebeku wybiły na wieżach posrebrzonych światłem księżyca jedenastą godzinę, kiedy pierwszy nasz gość doktór, wszedł do Saltmarsch.

„Nazajutrz rano świeża jutrzenka zarumieniła niebo, jaskółki świergotały wesoło krążąc około domu, dziecię Gordona Caryll spoczywało na mych rękach, a odrzucona małżonka Gordona Caryll leżała na łóżku blada i spokojna, nie zważająca weale na straszną walkę jaką toczyły przy jéj łóżku śmierć i życie.

. . . .

„Życie zwyciężyło. Dnie mijały; upłynęło dwa tygodnie i skończyła się walka. Ta prześliczna głowa spoczywała na poduszkach blada jeszcze i jakby zamglona, ale już nie ulegało wątpliwości że pani Gordon została ocaloną.

„Saltmarsch nie miało już pozoru opustoszałego domu. Silna i tęga *garde-malade* przybyła do nas z Kwebeku; doktór odwiedzał nas codzień, a stara Betyna przepędzała z nami nie tylko dnie ale i noce. Nie było się już czego obawiać; człowiek którego moja pani lękała się i oczekiwała, był już i oddalił się na zawsze. Starania około dziecięcia spadły całkiem prawie na mnie, a chociaż zupełnie dla mnie nowe, były mi przyjemne, bo pomimo że jestem panną, bardzo lubię małe dzieci. Pani Waters, owa *garde-malade* tyle miała zajęcia około choréj, że ja tylko sama czuwałam nad dziecięciem, piastowałam je przez cały dzień, a w nocy spało w kolebce przy mojem łóżku.

— „Nie widziałam jeszcze nigdy równie małego dziecka, rzekła raz do mnie pani Waters, pomimo że setki dużych i małych niemowląt przesunęło mi się już przed oczyma; to, nie musi ważyć więcéj nad pięć funtów.

„Była to rzeczywiście drobniutka i wątła istotka, z czarnemi oczyma i takiemiż włoskami, z różową twarzyczką jakby napiętnowaną jakąś cechą fatalności.

„Rzecz dziwna i trudna do uwierzenia! Od dnia urodzenia matka nie widziała go jeszcze i nie żądała aby go jéj pokazano. Pewnego wieczora gdy Betyna zawołała pani Waters na wieczerzę a ja zostałam przy choréj, pierwszy raz zaczęła mówić o dziecku.

„Było to w pogodną noc lipcową. Rzeka ściśnięta zielonemi brzegami, połyskująca od blasku księżyca była podobną do srebrzystéj wstęgi. Białawe światło księżyca oświecało pokój i dozwalało widzieć bladą jéj twarz, bielszą od otaczających ją koronek i batystów. Siedziała otoczona poduszkami, patrząc posępnym wzrokiem na wspaniałą piękność nieba i ziemi, na odblaski firmamentu, na rzekę i jéj brzegi. Siedziała przeszło godzinę, nieruchoma, nie spuszczając oczu z tego zachwycającego widoku, jak gdyby chciała wyczytać swoje przeznaczenie w dalekich linijach horyzontu, po za błyszczącą rzeką. Niedaleko od łóżka dziecię spało głęboko w swéj kolebce. Najgłębsze milczenie panowało wewnątrz i na zewnątrz, ale zostało nagle przerwane krzykiem przebudzającego się dziecięcia. Kiedy przechodziłam przez pokój aby je wziąść na ręce, chora rzekła do mnie:

— „Joanno, przynieś je do mnie.

— „No! pomyślałam, już dawno można było objawić to życzenie; ale milcząc spełniłam jéj rozkaz.

„Oburzał mnie ten zupełny w niéj brak uczuć macierzyńskich, ta obojętność przeciwna naturze. Położyłam dziecię na jéj łóżku a sama stanęłam przy niem.

— „Weź, weź go ztąd, zawołała prędko i odsuwając się ze wstrętem. Nie chcę go tu mieć przy sobie. Nie mogę znieść małych dzieci. Potrzebuję go tylko zobaczyć.

— „Może przyniesć światło? zapytałam.

— „Nie, wszakże księżyc świeci. Jakież to malutkie dziecko, Joanno! Do kogo podobne?

— „Oczy ma takie jak pani, odpowiedziałam, ale zresztą trudno jeszcze coś powiedzieć. Jednak pani Waters utrzymuje że podobne do pani. Jest to bezwątpienia tak małe dziecię że niepodobno byłoby znaleźć mniejszego.

— „Do mnie podobne, rzekła z lekkim uśmiechem, to dobrze. Spodziewam się że nigdy i w niczem nie będzie podobne do niego. Spodziewam się że będzie żyć aby pomścić swą matkę!

„Milczałam oburzona i zrażona do najwyższego stopnia temi jéj słowami. Doznałam niewymownie przykrego uczucia, słysząc że matka, że chrześcianka, zaledwie ocalona od śmierci, mówi o zemście jakby jaka poganka.

— „Czy to chłopiec czy dziewczynka? zapytała po chwili milczenia.

— „Dziewczynka, odpowiedziałam śpiesznie. Dziwi mnie bardzo że pani już dawniéj nie zapytała się o to.

„Spojrzała na mnie z najżywszym zadziwieniem ale bez gniewu.

— „Dla czegóż miałam pytać o to co mi jest zupełnie obojętne? Córka!... Może już wolałabym syna!... a jednak kto wie... jeżeli będzie do mnie podobna i piękna, może dokazać wiele... działać wspólnie ze mną... Niech i tak będzie... Odejdź z nią już, Joanno.

„Odwróciła głowę w przeciwną stronę, i siedziała tak długo pogrążona w zamyśleniu... widziałam dobrze że były to jakieś posępne i cierpkie myśli. Kimkolwiek mogła być ta pani Gordon, co do mnie nabierałam co raz silniejszego przekonania, że nie była zacną i uczciwą kobietą... Żona którą mąż musiał odtrącić od siebie... matka widząca w swem dziecku tylko przyszłe narzędzie zemsty przeciwko ojcu!... Są osoby u których służba nie dałaby się opłacić najwyższemi zasługami; według mego zdania można to było powiedzieć słusznie i o moim obowiązku, dla tego też postanowiłam oddalić się od pani Gordon jak tylko przyjdzie do zdrowia.

„Bóg tylko wiedzieć może, mówiłam w myśli do dziecka spoczywającego na mych kolanach, co się z tobą stanie, biedna wątła istotko z czarnémi oczyma, przy takiéj matce jak twoja!... lepiéj byłoby dla ciebie gdybyś należała do mnie.

„Począwszy od tego wieczora pani Gordon widocznie odzyskiwała siły, zaczęła wydawać różne rozporządzenia, z których najpierwszem było oddalenie pani Waters.

— „Doktór powiedział mi że niebezpieczeństwo już minęło, rzekła w kilka dni później do pani Waters; nie potrzebuję już nadal pomocy pani, opieka Joanny będzie dla mnie dostateczną. Joanno oddaj pani Waters jéj należność.

„Pani Waters opuściła nas tego samego dnia wieczorem.

„Nazajutrz pani Gordon postanowiła wstać i kazała się ubrać. Trzeba było zastosować się do jéj woli, i naprożno starałabym się wyrazić jak była piękną, miłą i młodziuchną. Tak, młodziuchną, bo ilekolwiek miała rzeczywiście lat, nie zdawała się mieć więcéj nad szesnaście. Ale tak w jéj czarnych, teraz spokojnych oczach, jak i w jej bladéj twarzy było coś takiego, co przykre sprawiało wrażenie, a czego nie potrafię określić, i to utwierdzało mnie jeszcze w zamiarze oddalenia się od niéj jak najśpieszniéj.

„Od owego wieczoru o którym wyżéj wspomniałam, nie zwracała już wcale uwagi na swoją córeczkę, nie spojrzała nigdy na nią, a jeżeli dziecina zapłakała, niecierpliwiła się tem i kazała ją co prędzéj wynosić z pokoju.

„Siedziała zamyślona, z brwią namarszczoną, z zaciśniętemi ustami. O czem tak myślała? Któż to może powiedzieć?

— „Za tydzień kończy się już mój miesiąc, pomyślałam, jutro podziękuję za służbę. Nie chcę już być dłużéj u ciebie, moja piękna i tajemnicza pani.

„W chwili kiedy to myślałam, zwróciła na mnie oczy i utkwiła je we mnie. Czy odgadła co się działo w méj duszy? Uśmiech błąkający się po jéj ustach kazał mi domyślać się tego.

— „Joanno, odezwała się zwykłym sobie rozkazującym tonem, przybliż się do mnie, chcę z tobą pomówić. Byłaś dobrą i wierną towarzyszką dla opuszczonéj i najnieszczęśliwszéj z kobiet. Chcę ci podziękować dopóki jeszcze pamiętam o tem i dopóki się nie pożegnamy.

— „Dopóki się nie pożegnamy? powtórzyłam zdziwiona. Czy pani odjeżdża?

— „Tak, Joanno. Po cóż bawiłabym tu dłużéj? Wszystko już skończone, niczego już nie potrzebuję się lękać, a spodziewać nie mogę. Jeden rozdział mojego życia już przeczytany i skończony na zawsze. Pojutrze rzucę się znów między ludzi i rozpocznę nowe życie. Dotąd istnienie moje było bardzo gorzkie... z wyjątkiem czterech miesięcy, krótkich jak jedna chwila.

„Umilkła nagle, wyraz uniesienia twarz jéj rozjaśnił.

— „Z wyjątkiem tylko czterech miesięcy!... O! tak ten błogi czas stanowi dla mnie zawsze wyjątek... Kiedy on mnie poślubił, i kiedy byłam szczęśliwą... szczęśliwą... szczęśliwą! Joanno, gdybym była umarła trzy tygodnie temu, kiedy *to* przyszło na świat, mogłabyś rozkazać aby na mym grobie położono napis który czytałam kiedyś na grobie innéj równie jak ja zgubionéj kobiety: *Byłam bardzo szczęśliwą i bardzo nieszczęśliwą*.

„Słucham w milczeniu, wzruszona mimowolnie namiętnym wyrazem jéj głosu i spojrzenia.

— „Wszystko to już skończyło się i minęło, rzekła znów po chwili. Nie umarłam jak to już powiedziałam rozpocznę nowe życie; nic już nie może mi się przytrafić gorszego nad to co dotąd przeszłam.

Mało zapewnie znajdzie się kobiet, któreby już w ośmnastym roku życia były rozwódkami.

— Roześmiała się jakimś ponurym śmiechem. Siedziała przy oknie w ulubionym swoim fotelu, i mówiąc przyglądała się różowym odblaskom zachodzącego słońca, padającym na liście i wierzchołki pagórków.

„Zdaje mi się że to czego doznaję teraz musi mieć niejakie podobieństwo z uczuciem złoczyńcy zasługującego na karę, któryby uzyskał uwalniający wyrak; boję się prawie tego świata z którym już tak długo nie miałam styczności, mówiła zamyślona, więcéj do siebie niż do mnie. Nie byłam bardzo dobrą wchodząc do tego domu... sądzę że już wiesz o tém Joanno, ale wychodzę z niego stokroć jeszcze gorsza. Przybyłam tu przynajmniéj z sercem ludzkiem w piersiach... z sercem zdolném kochać; czuć żal i zgryzotę... teraz nie mam już serca i nie wiem co to żal, co to zgryzota sumienia. Byłabym chętnie została jego sługą, niewolnicą, a on z pogardą odtrącił mnie od siebie. Powiedziałam mu że go kocham, że byłam mu zawsze wierną, a on roześmiał mi się w oczy. Kobieta może przebaczyć wiele, ale tego nie przebaczy nigdy. Gdyby porzucił mnie tylko... gdyby nie żądał rozwodu, nie zakłóciłabym nigdy jego spokojności... przysięgam że nigdy. Byłabym zdala kochała go zawsze i pozostałabym mu wierną aż do końca życia. Teraz, teraz...

„Umilkła, zacisnęła ręce, zacięła zęby a czarne jéj oczy błyszczały jak źrenice kota w ciemności.

— „Teraz, odpłacę mu za to wszystko co przez niego wycierpiałam, prędzéj czy późniéj, choćby mnie to życie kosztować miało. Zemszczę się przysięgam!

„Odsunęłam się od niéj bo widok jéj zmienionéj twarzy i te okrutne, straszne jéj słowa budziły we mnie wstręt którego nie mogłam ukryć.

— „Wszystko to razi cię i wydaje ci się strasznem, rzekła do mnie z goryczą. Masz naturę cichą i spokojną, moja dobra Joanno, idziesz od kolebki prosto i wytrwale utartą drogą regularnego życia, i dojdziesz tak aż do śmierci. Uspokój się, nie będę już długo razić twych przekonań i uczuć, wyjeżdżam pojutrze, a jako pamiątkę po sobie mam zamiar zostawić tu to stworzenie...

„Mówiąc to wskazała kolebkę stojącą w pokoju.

— „Pani zamierza zostawić tu dziecię? zapytałam zdumiona.

— „Zamierzam zostawić tu dziecię, powtórzyła z pół uśmiechem przedrzeźniając ton mego głosu. Wątpię abyś mogła mniemać że myślę zabrać je z sobą. Wyjeżdżam za dwa dni aby rozpocząć życie młodéj, światowéj kobiety... życie światowéj kobiety, czy rozumiesz to, Joanno? Możesz być pewną że za nic w świecie nie chciałabym włóczyć za sobą stworzenia przynoszącego tyle kłopotu. Tak Joanno, chcę zostawić dziecię u ciebie, jeżeli go zechcesz przyjąć lub w przeciwnym razie u pani Waters.

„O niech pozostanie u mnie! przyjmę szczerem sercem tę biedną dziecinę.

„Pochyliłam się nad tem drobnem i wątłem biedactwem, godniejszem pożałowania niż gdyby było zupełną sierotą, które jednak spało spokojnie, i ucałowałam je ze łzami w oczach.

— „Jesteś dobrą dziewczyną, Joanno, rzekła do mnie łagodniéj. Chciałabym, tak.. chciałabym z całego serca być taką jak ty... ale teraz już za późno... co się stało odstać się nie może. Więc przyjmiesz do siebie to dziecię?

— „Przyjmę.

— „Bardzo mnie to cieszy; będzie jéj dobrze u ciebie. Kiedyś wrócę tu po nią... Niechaj żyje Joanno... ma sobie wyznaczone do spełnienia zadanie, i powinna je spełnić. Ma się rozumieć że ci płacić będę, i płacić dobrze. Pozostało mi już bardzo mało z tych pieniędzy które przywiozłam tu z sobą, ale tam daleko, za tą rzeką i lasami, jest ich zawsze dosyć dla ludzi zręcznych i rozumnych. Pozostawiam ci wszystkie znajdujące się tu meble i sprzęty, możesz je stosownie do swéj woli sprzedać lub pozostawić sobie. Gdziekolwiek znajdować się będę, uwiadomię cię o tem zawsze abyś mogła pisać do mnie.

— „I nie przyjedzie tu pani już nigdy... nigdy pani nie odwiedzi swego dziecięcia? zapytałam.

— „Nigdy, Joanno, aż do dnia w którym zgłoszę się po nią do ciebie. Po co miałabym przyjechać? W takim znaczeniu jak ty to pojmujesz nie obchodzi mnie ona wcale. Kiedyś, jeżeli obie żyć będziemy, zgłoszę się po nią... Kiedyś ojciec jéj dowie się na swe nieszczęście, że ma dziecię.

„Jakiś dziwny i przykry ogień zabłysnął w jéj złotawo czarnych źrenicach i zniknął po woli. Zamilkła, i wsparłszy na kolanach ręce patrzyła długo to na rzekę to na pagórki już niknące w cieniach. Zgasło już różowe światło zachodzącego słońca, i zmrok zarzucił na wszystkie przedmioty lekką szarą zasłonę. Dziecię przebudziło się z krzykiem: miałam już dla niego przygotowany pokarm, zapaliłam lampkę i wziąłam niemowlę na ręce. Kiedy już leżało na mych kolanach ssąc spokojnie mleko z flaszeczki, wlepiwszy w sufit wielkie, czarne oczy, matka zwróciła się w tę stronę i przyglądała mu się w milczeniu.

„Dziewczynka, z białą swoją twarzyczką, czarnemi oczyma i czarnemi włosami, była podobniejszą do jakiegoś geniuszka z czarodziejskich powieści, niżeli do dziecka.

— „Jakie też to szkaradne żyjątko, odezwała się po długiem przyglądaniu pani Gordon, któréj taką jedynie uwagę nasunęły macierzyńskie uczucia; ale mówią że brzydkie dzieci wyrastają często bardzo pięknie. Potrzeba mi aby była piękną... chcę tego koniecznie. Jak ci się zdaje Joanno, czy będzie piękną? Czy rzeczywiście będzie do mnie podobną?

— „Bardzo, o ile mi się zdaje, odpowiedziałam. I tem więcéj nad nią ubolewam, dodałam ciszéj.

— „A! rzekła znów przyglądając się dziecku, czy ona nie ma czasem jakiego znamienia, tradycyonalnéj malinki na ręce, plamki na szyi, pieprzyka, czy tam coś podobnego?

— „Nie ma żadnego znaku ani też znamienia.

— „Tym gorzéj... musimy na to zaradzić; sztuka zastąpi naturę. Zajmiemy się tem jutro.

— „Czem się zajmiemy?... Wątpię aby pani chciała powiedzieć...

— „Chcę tylko powiedzieć że naznaczę dziecko tak, abym je mogła poznać nawet za lat pięćdziesiąt, gdyby to było potrzebnem. Nie przybieraj tak wystraszonéj miny, Joanno; nie zamierzam dokonać nic strasznego. Znaczą chustki od nosa, dla czegóż nie miałabym naznaczać dziecka? Ty mogłabyś umrzeć; ona, podrosłszy, mogłaby zginąć. O! tak, mogłoby się to przytrafić. Jeżeli będzie miała naturę matki nie łatwo ci ją będzie wychować. Moglibyśmy się także kiedyś spotkać z sobą i nie poznać wcale. Muszę zapobiedz temu zawczasu. Chcę módz poznać moją córkę, w razie gdybyśmy się spotkały.

— „Przez litość! co pani zamierza uczynić?

— „Czy widziałaś Joanno tatuowanie wykonane indyjskim atramentem? Tak?... No, ja właśnie zrobię to samo. Jutro naznaczę jéj na ręce powyżéj łokcia jéj cyfrę, tak jakbym ją znaczyła na bieliznie, a ty mi dopomożesz.

— „Nie, pan, zawołałam z oburzeniem i odrazą; biedna dziecina! Zaklinam panią nie czyń tego! to okrucieństwo!

— „Okrucieństwo?... co też pleciesz? dam jéj coś usypiającego i nic czuć nie będzie. Więc stanowczo nie chcesz mi pomódz?

— „Stanowczo nie chcę.

— „Mniejsza o to, zawołam Betyny; żeby zaś twoja zbyt czuła i wrażliwa natura nie ucierpiała nad tem bardzo, będziesz mogła wyjść z domu odwiedzić matkę i siostrę. Ale nie zapytałaś się jeszcze jakie jéj dam imię.

— „Ponieważ ma zostać przy mnie nadal, jeżeli jéj pani jutro nie zamęczy to radabym dowiedzieć się o tem.

— „Bądź spokojną, nie mam wcale zamiaru jéj zamęczyć, śmierć jéj nie jest mi potrzebna. W tych dniach błogich, niestety! tak już dalekich odemnie, chciałam, w razie gdyby to był chłopczyk, dać mu imie ojca.

„Umilkła na chwilę; to wspomnienie jeszcze ją wzruszyło.

— „Jest to córka, na nieszczęście, dodała po chwili, ale pomimo to dam jéj jego imie. Gordon Caryll: to brzmi pięknie, wszak prawda Joanno?... choć jest to imie trochę dziwaczne dla dziewczyny. Jednak dopóki nie nadejdzie stosowna pora, dopóki się po nią nie zgłoszę, pozostawimy Caryll na stronie, a nazwiemy ją Kennedy... Kennedy to stare i dobre nazwisko szkockie... Gordon Kennedy brzmi bardzo przyzwoicie. Jutro wyznaczę jéj powyżéj łokcia G. K. i cokolwiek zajdzie, nawet po wielu latach jeżeli ja i moja córka zejdziemy się z sobą, zawsze i wszędzie poznam ją po tym znaku.

„Nie mogłam jéj zabronić tego; serce mi się krajało, oburzało mnie jéj okrucieństwo, ale była moją panią, była matką i wolno jéj było czynić co chciała. Postanowiłam jednak że nie będę obecną przy tych męczarniach; Betyna może jéj pomagać jeźli zechce, ale ja wyjdę z domu.

„Nazajutrz, rano, zaraz po śniadaniu udałam się na cały dzień do matki. Kiedy wróciłam wieczorem, operacya już była skończona, dziecię spało w kolebce z owiniętą rączką. Betyna nie ochłonęła jeszcze ze wzruszenia, ale pani Gordon była spokojna i zimna.

— „Czy bardzo krzyczała? zapytałam całując bledziuchną twarzyczkę dzieciny.

— „O! bardzo, odpowiedziała Betyna, tak krzyczała że o mało serce mi nie pękło; uspokoiła się dopiero kiedy pani dała jéj drugi raz to odurzające lekarstwo. Jéj rączka... ta malutka rączka, długo jeszcze będzie zapuchła i zaogniona. Ta nasza piękna pani, panno Joanno, musi mieć w piersiach kamień nie serce.

„Był to nasz ostatni wieczór w Saltmarsch, wieczór długi, spokojny i nużący. Nie dowierzałam mojéj pani, obawiałam się jéj, i mogę powiedzieć że nie kochałam jéj wcale, czułam jednak jakiś rodzaj współczucia, czy litości, dla téj istoty tak wątłéj i młodéj i pięknéj, a już tak zupełnie opuszczonéj, i rzuconéj w świat samotnie w osiemnastym roku życia.

„Siedziała w swém ulubioném miejscu przy oknie śliczna jéj twarz była nieruchoma jakby wykuta z marmuru, smutne, ponure wejrzenie zapuściła w przestrzeń zamroczoną cieniami wieczoru. Po upływie téj nocy wszystko miało zmienić się dla niéj, miała opuścić swoje ciche choć może smutne schronienie, i rzucić się w ten świat szeroki i nielitościwy, wraz ze swym smutkiem i swoją przedziwną pięknością, aby w nim nową utorować drogę. Przerażały mnie straszne dzieje jéj przeszłości, i zadawałam sobie pytanie: czy ta piękna, młoda i opuszczona małżonka zasługiwała na litość lub naganę.

„Godziny upływały... wybiła dziesiąta, po tem jedenasta, a ona nie poruszyła się jeszcze. Trochę przed północą wzięłam dziecię na ręce i wysunęłam się cicho do mego pokoju. Pani Gordon pozostała jeszcze przy oknie, nieruchoma jak przed tem zapuszczająca w przestrzeń wzrok ponury i rozpaczliwy.

„Następnego dnia niebo było jasne, bez chmur. Bettyna wstała rano aby przygotować śniadanie, ja posługiwałam pani. Zachowywała głębokie milczenie, i jadła śniadanie już w podróżnéj, szaréj toalecie. Pociąg odchodził o dziewiątéj; było już po pół do dziewiątéj i powóz czekał przed domem. Pochyliła się na chwilę nad swem dzieckiem, ale nawet rozłączając się z niem, może na zawsze nie pocałowała go ani raz jeden, i znów serce moje oburzyło się na nią.

— „Bettyna powiedziała prawdę, pomyślałam. Ma twarz anioła ale serce z kamienia.

„W téj chwili właśnie, spojrzała na mnie z tym uroczym uśmiechem którym oczarowała mnie już raz przy pierwszém naszém spotkaniu, a który i teraz potrafił ułagodzić moją ku niéj niechęć. Podała mi rękę.

— „Bądź zdrowa, Joanno. Skoro już odjadę, nie miéj bardzo złego wyobrażenia o mnie, biednéj kobiecie... dla któréj życie było bardzo ciężkie. Jesteś dobrą dziewczyną i zachowam o tobie na zawsze w sercu wdzięczne wspomnienie. Czuwaj gorliwie nad mojem dzieckiem, dobrze cię za to wynagrodzę, Może za lat kilka powrócę aby je zobaczyć, ale na pewno nic powiedzieć nie mogę... w każdym razie, co miesiąc mieć będziesz o mnie wiadomość. Jeźli się już nie zobaczemy; niechże ci teraz stokrotnie podziękuję za okazywaną mi przychylność, wierność i cierpliwość, przez te kilka przebytych ze mną miesięcy.“

„Były to jéj ostatnie słowa powiedziane w Saltmarsh; wyszła na zawsze z tego domu w pogodny letni poranek, odtąd nie widziałam jéj więcéj. Patrzyłam jak wsiadała do powozu; raz jeszcze uśmiech rozjaśnił piękną jéj twarzyczkę i małą rączką opiętą rękawiczką dała mi znak pożegnalny. Furman trzasnął z bicza i wśród tumanu kurzu powóz potoczył się ku Kwebekowi. Pani Gordon odjechała.

Nim noc zapadła przeniosłam dziecię do siebie i odprawiłam Bettynę. Część sprzętów zatrzymałam, resztę kazałam sprzedać w Kwebeku. Późnym wieczorem odniosłam panu Barteaux klucze i należność za komorne, a wracając własną ręką zawiesiłam na głównéj bramie wiekuiste ogłoszenie: *Dom do wynajęcia.* Saltmarsh znów oczekiwał lokatora.

„Pani Gordon przybyła do nas otoczona nieprzeniknioną tajemnicą, i odjechała w równie tajemniczy sposób. Opisuję to wszystko ze względu na dziecko któremu wiadomości te mogą kiedyś być potrzebne. Pojmuję to dobrze iż opisana tu historya nie jest skończona, że jest tylko wstępem do dalszych wypadków. Zdaje mi się niewątpliwem iż jeźli to dziecko i ta kobieta żyć będą i połączą się kiedyś, zatrują spokój i życie tego Gordona Caryll, i uczynią go nieszczęśliwym. Powtarzam, piszę to wszystko przez wzgląd na dziecko; może przyda mu się to kiedyś. Umierając złożę ten rękopism w pewne ręce, aby mu go oddano. Podpisuję się.“

„Joanna Kennedy.“

Część druga.

I.

Carylinne.

Daleko, bardzo daleko, o wiele a wiele mil lądem i morzem, bardzo daleko od owego na wzgórzu leżącego miasta Kwebek, bardzo daleko w głębi pięknéj Anglii, leży wielka posiadłość zwana Carylinne, rodzinne miejsce Gordona Caryll.

Carylinne leży w jednem z najpiękniejszych i najweselszych hrabstw rozłożonych na morskiém wybrzeżu. Piękna to i wspaniała posiadłość, obejmująca niezmierzone przestrzenie łąk i lasów i ciągnąca się aż do morza, tak lśniącego pod blaskiem ostatnich promieni sierpniowego słońca, jak gdyby było zasiane gwiazdami.

Wielki portyk normandzki z wysoką żelazną kratą, prowadzi do szerokiéj alei wysadzonéj z obu stron wielkiemi drzewami o różnobarwnych liściach, bukami których gałęzie podobne są do krwawych rubinów, olszyną ze srebrzystą korą, posępnemi sosnami, powabnym wiązem i powiewnemi topolami.

Lasy Carylynne'e dosięgają aż do morskich wybrzeży; tuż pod niemi leży wioska, któréj dziedzic Carylinna już od dwóch przeszło wieków jest posiadaczem i panem.

Wspaniała ta aleja pałacowa ciągnęła się przeszło milę, poczem minąwszy piękny szalet szwajcarski stanowiący pomieszkanie odźwiernego, piękne zielone murawy i kwatery wysadzone najpiękniejszemi jesiennemi kwiatami, dojeżdżało się do pałacu, zbudowanego nieregularnie z szarego kamienia, opatrzonego wieżami i wieżyczkami, całkiem prawie pokrytego bluszczem.

(d. c. n)

Opis do N-ru 19.

(Dokończenie).

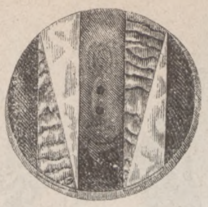


N 7. Krawatka ze szlakiem wyszytym krzyżykami. Patrz ryc. 8.

Rycina 39 przedstawia sukienkę z niebieskiego kaszmiru ozdobioną plisowanemi falbankami po 8 cent. szerokiemi, oszytemi pliską jedwabną 3 cent. szeroką, u góry zaś dana pliska 4 cent. szeroka, wyszyta białym jedwabiem ściegiem krzyżykowym lub łańcuszkowym, która zdobi także kołnierzyk marynarski, kieszonki i rękawy, oszyte plisowaną koroneczką. Szarfa z materyi niebieskiej. Na rycinie 40 widzimy sukienkę białą batystową, zdobną haftowanemi wszywkami i falbankami.

N. 41. Ubranie dla małego chłopczyka.

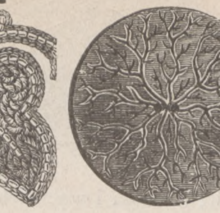
Bluzka przytrzymana paskiem i majteczki z kołorowego welwetu ozdobione są wypustkami z materyi tego samego koloru; guziczki złote; majtki u dołu oszyte 2 centymetra szeroką.



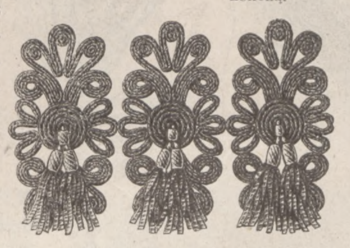
N. 1. Guzik wykładany mieniącą się konchą.



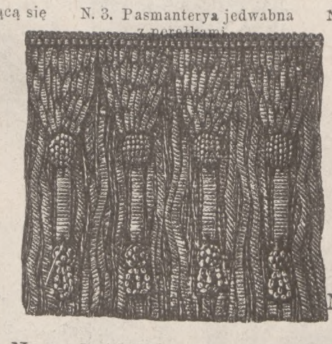
N. 3. Pasmanterya jedwabna z perełkami.



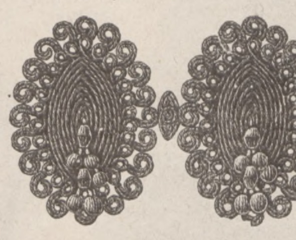
N. 2. Guzik w deseń z gałązek koralowy.



N. 4. Torsadka z kwaścikami.



N. 6. Frendzla z kwaścikami.



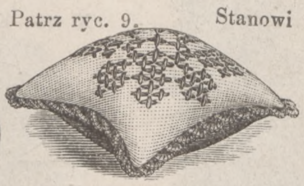
N. 5. Torsadka z gretotkami.



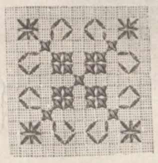
N. 10. Neseser z przyborami do szycia. Patrz ryc. 9.



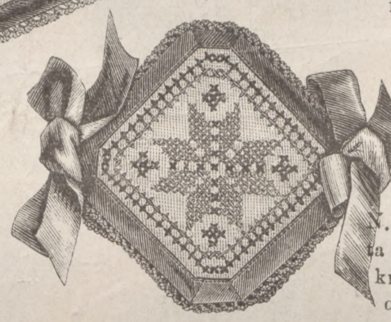
N. 11. Futerał na nożyczki.



N. 12. Poduszeczka do szpilek. Patrz ryc. 13.



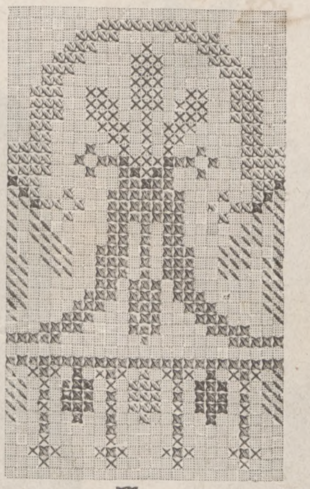
N. 13. Rozeta wyszyta krzyżykami do r. 12.



N. 14. Książeczka do igieł.



N. 15. Płaszczyk z peleryną. Patrz ryc. 42. Krój i opis na ark. N. II, Fig. 6—10a.



śniowy mno oliwkowy łękitny. blado nieb. złoty tło.

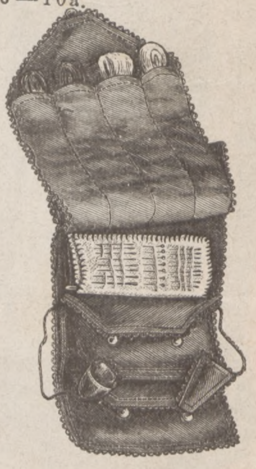
N. 8. Deseń krzyżykowy do ryc. 7.



N. 16. Paletocik ozdobiony haftem. Patrz ryc. 43. Krój deseń i opis na ark. Nr. VII, Fig 31—36.

N. 42—43. Opis i krój na arkuszu N. II, Fig. 6—10a.

N. 44—45. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Krój na arkuszu Nr. XVI, Figura 91.

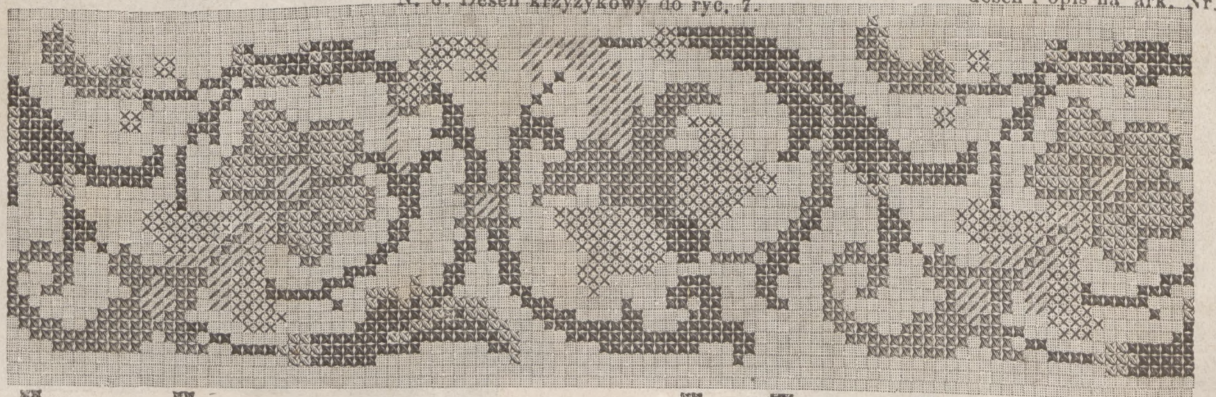


N. 9. Neseser otwarty Patrz ryc. 10.

Odszyty z szewjotu lub innego wełnianego materyału ma dodaną pelerynę tworzącą z przodu rękawy, wskazaną na zmniejszonym formacie kroju Fig. 91. Kieszenie i kołnierz dane są na podszewce; guziki rogowe, frendzla jedwabna 10 cent. szeroka.

N. 46. Peleryna naszyta frendzlą. Krój na arkuszu Nr. XII, Fig. 67.

Stanowi dopełnienie letniego spacerowego ubrania szyje się z tego samego co suknia materyału, na podszewce jedwabnej; krój załącza Fig. 67; wykrój szyi otacza pukiel 2 cent. szeroki.



Oliwkowy blado niebieski na kwiaty, jasno żółty na arabeski różowy ponsowy złoto żółty tło.

N. 17. Deseń krzyżykowy na szlak do ryciny 8 w N-rze 18.



N. 18. Paletot dla panienki lat 11—13. Krój i opis na arkuszu N. XI, Fig. 61—66a.

N. 21—22. Rękawiczki i wachlach do letniego spacerowego ubrania.

N. 33. Kapelusz (pamela) z florenckiej słomki.

N. 29. Paletocik z fałdowanemi plecami dla dzieci lat 2—3. Patrz r. 30. Krój na arku N. VI, Fig. 24—30.

N. 31—32. Paletocik dla panienki lat 6—8. Krój na arkuszu N. XIV Fig. 76—82.

N. 30. Paletocik z fałdowanemi plecami dla dzieci lat 2—4. Patrz r. 29.

N. 34. Kapotka z niebieskiej krepy. Patrz ryc. 35.

N. 23—25. Trzy modne paski.

N. 26. Paletot dla chłopca lat 7—9. Krój na ark. Nr. XIII, Fig. 68—75.

N. 19—20. Mantylla z szalowemi końcami. Krój i opis na arkuszu N. III, Fig. 11—12a.

N. 37. Krawatka z indyjskiego muślinu.

N. 27—28. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Krój i opis na arkuszu Nr. X, Fig. 57—60a.

N. 36. Kapelusz czarny bastowy.

N. 35. Kapotka z niebieskiej krepy. Patrz r. 34.

N. 38. Paletot z kradratowym wykrojem szyi.

N. 39—40 Sukienka princesse dla panienki lat 11—13. Krój na ark. N. V, Fig 16—23a. N. 41. Ubranie dla małego chłopca.

N. 50. Okrycie z pelerynowemi rękawami. Patrz ryc. 53.

N. 51. Rękaw do sukni ryc. 52.

N. 46. Pelerynka naszyta frendzlą. Krój na ark. N. XII, Fig. 67.

N. 42. Płaszczyk z peleryną. Patrz ryc. 15. Krój i opis na arkuszu Nr. II, Fig. 6—10a.

N. 43. Paletot ozdobiony haftem. Patrz ryc. 16. Krój i opis na arkuszu Nr. VII, Fig. 31—37.

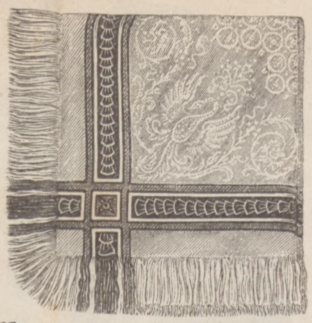
N. 44—45. Płaszczyk podróżny z pelerynowemi rękawami. Krój na arkuszu Nr. XVI, Fig. 91.

N. 47. Płaszczyk bez rękawów, dla dziewczynki lat 4—6. Krój i opis na arkuszu Nr. IV, Fig. 13—15.

N. 48—49. Płaszczyk podróżny z krótką pelerynką. Krój na arkuszu Nr. XV, Fig. 83—90a.

N. 52. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 2 i 12. Krój stanika na ark. Nr. XVII, Fig. 92.

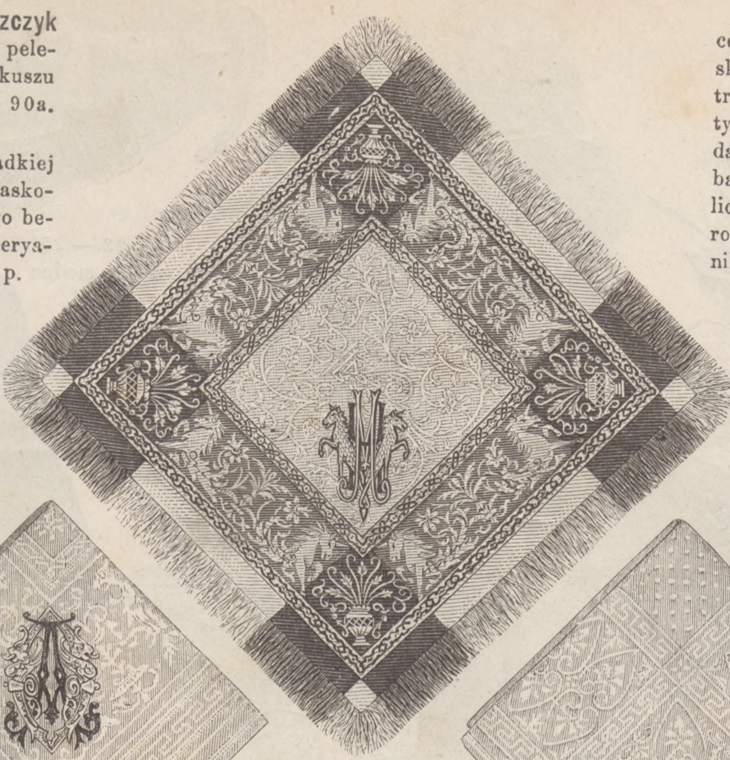
N. 53. Ubranie strojne wizytowe z okryciem. Patrz ryc. 50. Krój i deseń na arkuszu Nr, I, Fig. 1—5b.



N. 54. Serweta z kolorowym szlakiem, odpowiednia do obrusu ryc. 60.

N. 48 — 49. Płaszczyk podróżny z krótką pelerynką. Krój na arkuszu Nr. XV, Fig. 83 — 90a.

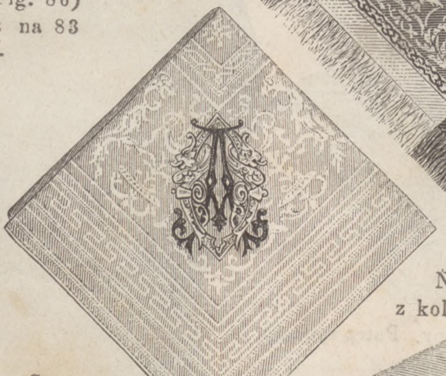
Może być z gładkiej flanelki, szewjotu piaskowego lub popielatego beżu dubeltowego, materyału w kratę lub t. p. Fig. 83—86 dopełniają się na długość i na szerokość podług miar wypisanych; część pleców założona w fałdy Fig. 86 i część gładka Fig. 85 wszyte są w karczek Fig. 87 od p-ru 31 — 32. Fałdy (na Fig. 86) załamują się płasko, od góry wzdłuż na 83 cent. są zastębnowane a u dołu puszczone wolno. Kołnierz kraje się z podwójnego materyału i wszywa od 39 — 41 w wykrój szyi; pelerynka krajana pojedynczo, szeroko zaobrębiona u dołu przyszywa się od 39—40. Przednie brzegi podszyte szerokiemi listewkami zachodzącemi pod guziki i dziurki; pasek liczy $4 \frac{1}{2}$ centymetra szerokości i przyszyty jest z boków fałdy środkowej. Sznur szmuklerski i kwasty stanowią przyozdobienie.



N. 56. Serweta z kolorowym szlakiem.



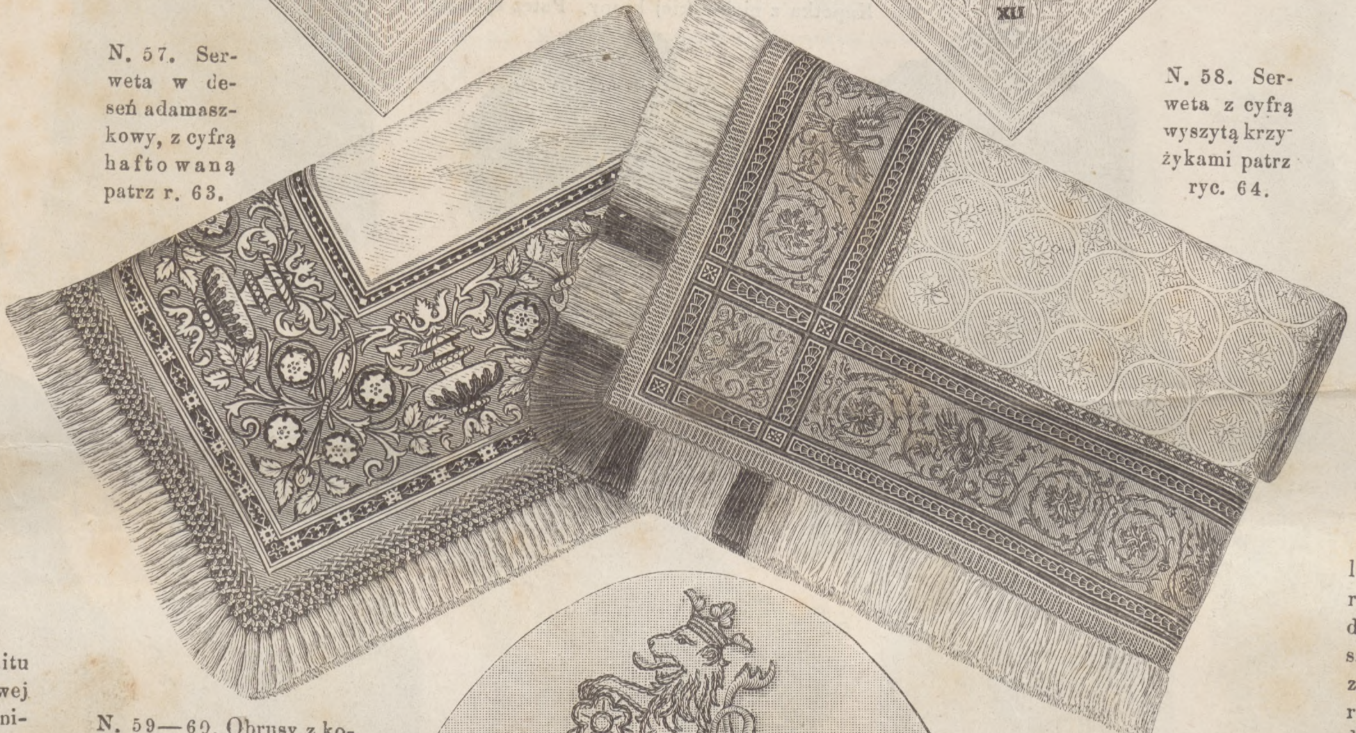
N. 55. Serweta z herbem na środku. Patrz ryc. 61.



N. 57. Serweta w deseń adamaszkowy, z cyfrą haftowaną patrz r. 63.



N. 58. Serweta z cyfrą wyszytą krzyżykami patrz ryc. 64.



N. 59—60. Obrusy z kolorowemi szlakami.

N. 51 i 53. Ubranie strojne wizytowe z płaszczykiem. Krój płaszczyka i deseń wyszycia na arkuszu N. I, Fig. 1 — 5b.

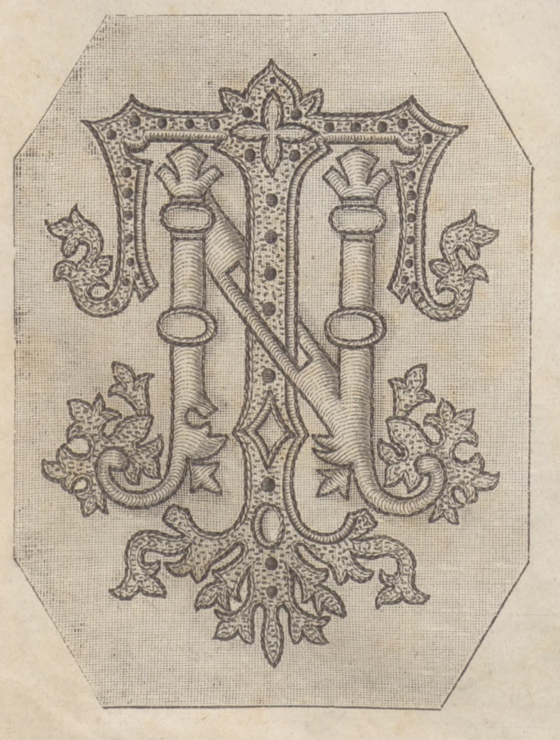
Strojna suknia wizytowa jest z ciemno zielonego aksamitu i materyi adamaszkowej tegoż koloru. Na spódnicy jedwabnej dodany jest tren aksamitny liczący przy brzegu górnym prostym 70 cent. szerokości, przy dolnym również prostym 140 cent., z boków po 44 cent. w środku 70 cent. długości który składa się w dwie kontrafałdy i przyszywa do tylnego bryta sukni danego z kamlotu; falbany dane z przodu liczą po 12 cent. szerokości. Upięcie tuniki jedwabnej widoczne na ryc. 53.

Okrycie zrobione na podszewce lub bez, przedstawione z przodu na rycinie 50 dopasowywa się podług Fig. 1 — 4; po zszyciu spodniej części rękawów (Fig. 3) od C — D z przodem łączą się plecy ze zwierzchnią częścią rękawów a od A przez B do C z przodem a od C do D ze spodnią połową rękawów. Kołnierz poddany podszewką wszywa się od F—G; brzegi i wszystkie szwy podszyte są wązką listewką; przody zapinają się na haftki. Strojne przyozdubienie okrycia z piaskowego materyału stanowi 10 centym. szeroka jedwabna frendzla i haft odrobiony podług Fig 5a; deseń na kołnierzyk wskazuje Fig. 6b. Model nasz ozdobiony był haftem maszynowym; haft ręczny może być daleko efektowniejszy, wykonany włóczką crewel w kolorze tła jakiem jest odrobiony. Deseń jaki podajemy miał kontury wyszyte łańcuszkiem, środki zaś zapełnione były sznureczkiem, robionym szydełkiem z podwójnej włóczki.

N. 54 — 64. Bielizna stołowa i monogramy do znaczenia. Opis w N. 18.



N. 61. Herb tkany fabrycznie i ozdobiony haftem do ryciny 35.



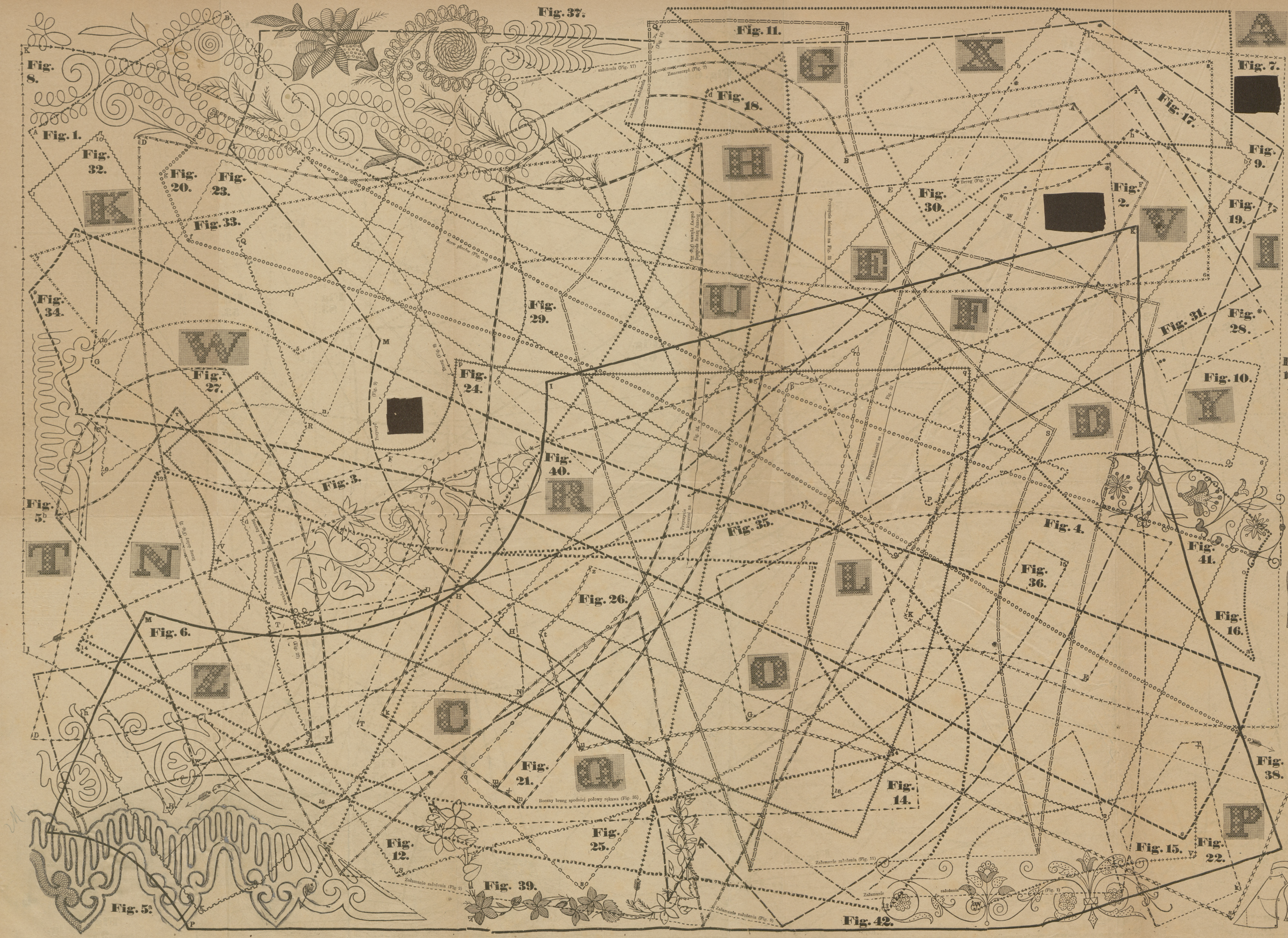
N. 62. Monogram do znaczenia bielizny stołowej.



N. 64. Cyfra wyszyta krzyżykami.



N. 63. Monogram do ryciny 57.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 18 i 19.

N. I. Płaszczyk z pelerynowemi rękawami. Ryc. 50 i 53 w Nrze 19.

Fig. 1. Przód (A, B, C, E, G, ✻) 1 założenie
Fig. 2. Połowa pleców wraz ze zwierzchnią częścią rękawa (A, B, C, D, F, ✻) 1 założenie
Fig. 3. Spodnia połowa rękawa (C, D, E)
Fig. 4. Połowa wykładanego kołnierza (F, G)
Fig. 1a—4a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—4.
Fig. 5a. Deseń na szlak szeroki z połową narożnika.
Fig. 5b. Deseń na wązki szlaczek.

N. II. Płaszczyk z peleryną. Ryc. 15 i 42 w Nrze 19.

Fig. 6. Przód (H, I, K, L, M, P)
Fig. 7. Połowa dolnej części pleców (I, K)
Fig. 8. Spodnia część rękawa (H, I, K, N)
Fig. 9. Połowa peleryny wraz ze zwierzchnią połową rękawa (H, L, M, N, O, ✻) 1 założenie
Fig. 10. Połowa wykładanego kołnierza (O, P)
Fig. 6a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju. Fig. 6—10.



Fig. 6a—10a.

Spodnia połowa rękawa (Fig. 8) podszywa się atłasem, koloru odpowiedniego do materjału użytego na płaszczyk, który widoczny jest przy podnoszeniu ręki. Najpierw spodnia połowa rękawa zszywa się od H do I z przodem (Fig. 6) a następnie obie części łączą się z krótką dolną częścią pleców (Fig. 7), której brzeg górny objęty jest skosem, złączony od I do K i puszczony wolno. Peleryna ze zwierzchnią częścią rękawów zszywa się tylko od L do M i od M do N przez H, kołnierz zaś (Fig. 10) wszywa się do wykroju szyi od O do P. Brzegi przednie i dolne podszyte skosem 4 cent. szerokim, 2 cent. szerokie listewki dane są na szwach. Okrycie przedstawione z przodu jest z piaskowego materjału „Angola"; wspaniały haft dany piaskowym jedwabiem, frendzla 10 cent. szeroka z karbowanej, wełnianej plecionki. Do strojnej jedwabnej ciemno zielonej sukni, przedstawionej na ryc. 42 było okrycie z popielatego „cachemir de leine".

N. III. Mantylla z szalowemi końcami. Ryc. 19—20 w Nrze 19.

Fig. 11. Przód (Q, R, S, ✻) 1 założenie
Fig. 12. Połowa pleców (Q, R, S)
Fig. 11a—12a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 11—12.

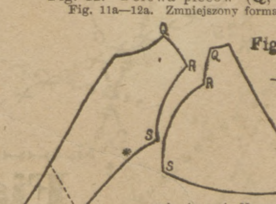


Fig. 11a —12a.

Rycina 19—20 w Nrze 19 przedstawia z przodu i z tyłu mantylę z kaszmiru indyjskiego, przykrojoną podług Fig. 11 do 12. Po zszyciu przodów z plecami od Q do R i od R do S i po zszyciu pleców środkiem, na szwach podszywa się od spodu wstążkę, u dołu zaś pleców dodana podszewka, na której ułożony garnirunek 12 cent. szeroki. Brzegi przednie podszyte skosem repsowym 3 cent. szerokim; przody zapięte na haftki, poniżej podłużnego wykroju szyi. Na ryc. 19 garnirunek stanowi koronka 10 cent. szeroka składana w kontrafałdy, z nagłówkiem 2 cent. szerokim; pod szyją dana koronka 4 cent. szeroka, zwrócona brzegami do siebie i kokarda z wstążki atłasowej w dwóch kolorach. Haft dany kordonkiem ściegiem płaskim i łańcuszkowym.

N. IV. Płaszczyk z peleryną dla dziewczynki lat 4—6. Ryc. 47 w Nrze 19.

Fig. 13. Wskazanie kroju połowy płaszczyka (podług Nr. XIV z dzisiejszego arkusza) zestawionej z Fig. 14a—15a, zmniejszony format pelerynki i wykładanego kołnierza.
Fig. 14. Połowa peleryny (T, U, V, W)
Fig. 15. Połowa wykładanego kołnierza (V, W)

Fig. 13.



Fig. 14a—15a.

Fig. 14—15 podają w naturalnej wielkości krój peleryny i kołnierza; płaszczyk zaś przykrawa się z formy dopasowanej podług małego formatu, zmniejszonego z kroju Nr. XIV, zmieniając plecy trochę wcięte na puszczone. Proste, przystębnowane kieszenie liczą po 1[illegible] cent. długości a 10 szerokości. Wązka listewka podszyta brzegiem płaszczyka i peleryny, u dołu zaś dany obrąb 1 cent. szeroki. Model był z cienkiego piaskowego sukienka; przy pelerynie i kołnierzu dana plisa jedwabna ozdobiona wyszyciem krzyżykowem; frendzla jedwabna 5 cent. szeroka, guziki złote.

N. V. Sukienka princesse dla panienki lat 11—13. Ryc. 39—40 w Nrze 19.

Fig. 16. Pierwsza część przodów (a, b, o) 1 założenie
Fig. 17. Druga część przodów (a, b, c, d, g, h, i) 1 założenie
Fig. 18. Boczek (c, e)
Fig. 19. Pierwsza część pleców (e, f, h)
Fig. 20. Druga część pleców (f, g, n)
Fig. 21. Rękaw (i, k, l, m, +)
Fig. 22. Połowa mankieta (k, +)
Fig. 23. Połowa marynarskiego kołnierza (n, o)
Fig. 16a—23a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 16—23.

N. VI. Paletocik z fałdowanemi plecami, dla dziecka lat 2—4. Ryc. 29—30 w Nrze 19.

Fig. 24. Przód (p, q, t, u, v, +, •)
Fig. 25. Boczek (p, q, r, s)
Fig. 26. Połowa pleców (r, s, t, u, z)
Fig. 27. Rękaw (v, w, x, y, ⁚)
Fig. 28. Mankiet (v, w, ⁚, ✻)
Fig. 29. Połowa marynarskiego kołnierza (s, +)
Fig. 30. Połowa kieszeni (•)

N. VII. Paletocik wcinany ozdobiony haftem. Ryc. 16 i 43 w Nrze 19.

Fig. 31. Pierwsza część przodów (1, 2, 9, 16)
Fig. 32. Druga część przodu i boczek (1, 2, 3, 4, 5, 6, 10, 11)
Fig. 33. Pierwsza część pleców (5, 6, 7, 8, 10)
Fig. 34. Druga część pleców (7, 8, 9, 15)
Fig. 35. Rękaw (11, 12, 13, 14)
Fig. 36. Połowa stojącego kołnierza (15, 16)
Fig. 31a—36a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 31—36.
Fig. 37. Deseń haftu.

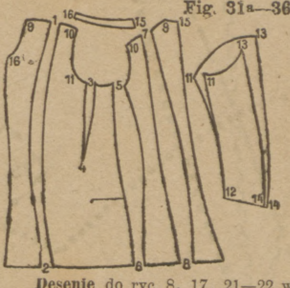
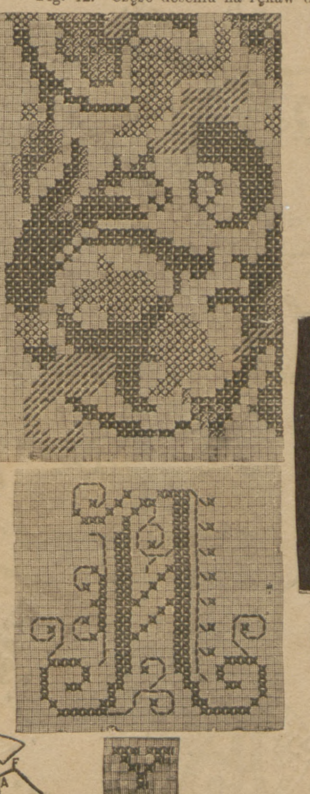


Fig. 31a—36a.

Paletocik przedstawiony na rycinie 16 i 43 odrobiony był z piaskowego kaszmiru indyjskiego, lecz pierwsze części przodów i drugie części pleców, wykłady na rękawach i proste kieszenie 15 cent. długie są z piaskowej trochę ciemniejszej materji, ozdobione haftem; pod paletocikiem podszewka jedwabna. Podług Fig. 37 podającej część deseniu do haftu, układają się zmniejszone lub powiększone arabeski, zdobiące różne części paletota; na kieszenie i mankiety dość jednej arabeski. Zamiast haftu można dać wyszycie z jedwabnego piaskowego sznureczka. Na szwach łączących części jedwabne z kaszmirowemi dane atłasowe wypustki na grubym sznureczku, tudzież przy kieszeniach i wykładach. Guziki jedwabne; frendzla marabout 14 cent. szeroka.

Desenie do ryc. 8, 17, 21—22 w Nrze 18, ryc. 17 w Nrze 19 i do ryc. 8—9 w Nrze 17.

Fig. 38. Czwarta część deseniu do koszyka, ryc. 8 w Nrze 18 i 17 w Nrze 19.
Fig. 39. Szlak do ryc. 17 w Nrze 18.
Fig. 40. Dopełnienie deseniu do ryc. 21—22 w Nrze 18.
Fig. 41. Część deseniu na rękaw do koszuli, ryc. 8 w Nrze 17.
Fig. 42. Część deseniu na rękaw do koszuli, ryc. 9 w Nrze 17.



Rycina 8 w Nrze 18 i 17 w Nrze 19.

Kosz do robót, na negliżyki lub t. p.

Deseń na ścieg krzyżykowy: Fig. 38.

Kosz pleciony z żółtej trzcinki formą rozszerzoną, w górze jest 12 cent. głęboki, 37 cent. długości w górze, 28 u dołu, 27 cent. szerokości u góry, 20 u dołu mający. Do wyłożenia koszyczka służy ponsowe sukno, stanowiące tło do wyszycia krzyżykami, filozelą w kolorach wskazanych na ryc. 17 w Nrze 19. Gruby sznur wełniany kręcony z jedwabiem odpowiednich kolorów dany przy denku i w około górnego brzegu.

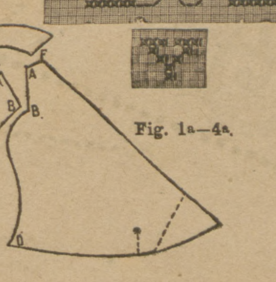


Fig. 1a—4a.

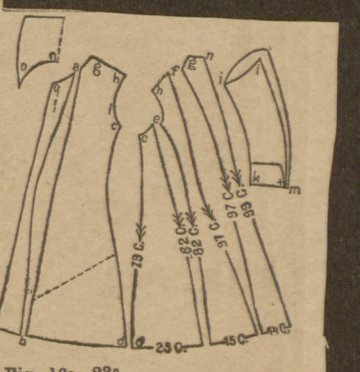


Fig. 16a—23a